Nr. 77. Lwów — Czwartek dnia 5 Kwietnia. **Rok 1894.**

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na prowincyi. . . . . 5 „
Numera z poprzednich miesięcy po 10 ct.

„Przegląd" jest do nabycia we Lwowie w obu Biurach sprzedaży dzienników i we wszystkich większych trafikach.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Cena prenum. na prowincyi.
Miesięczna złr. 1·10 | Półroczna złr. 6
Kwartalna „ 3·— | Roczna „ 12
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Prenumeratę należy przysyłać franco.
Do przesyłania w kopertach pieczętnych należy dodawać 5 ct.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach" za każde słowo drukiem petitowym po . . 3 „
zaś tłustym garmondem po . . . 4 „
Korrespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . . 20 „
Nekrologia . . . . 30 „
Ogłoszenia do „Przeglądu" przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW" ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: św. Wincentego | Zacharya Prep.
Jutro: św. Celestyna | Błah. P. Bob.

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**

Wschód słońca g. 5 m. 39
Zachód „ 6 „ 29

Długość dnia g. 12 m. 50
Przybyło dnia od wczoraj 2 m.

Uroczystość kościuszkowska.

Dziś gród nasz święci setną rocznicę pogromu Moskali pod Racławicami przez naczelnika ludu wolnego Kościuszkę. Gdziekolwiek żyje jakaś polska dusza, to musi ją ogarnąć uczucie rzewne i bolesne na myśl, że w roku bieżącym przypada także rocznica klęski Maciejowickiej. Ileż w tych dwóch rocznicach radości i boleści zarazem! Pierwsza przypomina jasne chwile w życiu naszem, ostatnia początek strasznej niewoli, krwawych klęsk męczeństwa całego narodu. Kto policzy ilu to naszych bojowników położyło kości za ideę odzyskania niepodległości od dnia przysięgi Kościuszki? ilu ich zginęło w powolnej katuszy więzień, ilu na rusztowaniach lub w sybirskich stepach i tajgach? ilu na obczyźnie, na tułactwie strawił smutek i tęsknica nieuleczalna? Kto policzy ciche łzy matek, żon, sióstr i córek, przepłakane w tem krwawem stuleciu?

Radość tem większym jaśnieje blaskiem, jeżeli odbija od cienia boleści. Tak i my, skazani na cierpienia przez wiek cały, z lubością zwracamy się do tych chwil, które jakiemś żywszem tętnem poruszają nasze serca, które nam dodają otuchy na przyszłość. Z tego-to powodu myślą zawsze zwracamy się do największego z naszych bohaterów ostatniego stulecia. Dzisiaj, w sto lat po jego świetnem zwycięstwie, miasto nasze rozbrzmiewa radością, przybrało świąteczną szatę, przystroiło się, jak je stać było, a wszyscy złączyli się, aby wspólnie uczcić pamięć patryoty, który połączył wszystkie stany w jeden naród. Myśl jego ucieleśnia się, dziś po długiej, mozolnej pracy nad ludem braci starszej, lud ten poczuł się polskim i pragnie wolności Ojczyzny, a z oburzeniem odpiera od siebie podszepty złych i podłych agitatorów, którzy chcą w nim zaszczepić niechęć i zazdrość do starszej braci. Rocznica dzisiejsza, jako pierwszy przykład dzielnej walki ludu za Ojczyznę, powinna nas napełnić otuchą i z ufnością w sprawiedliwość Najwyższego Pana Zastępów wyszlijmy do stóp Jego Tronu gorącą modlitwę: „Ojczyznę, wolność, racz nam wrócić Panie!"

. . . .

Gdy wielki wódz nasz przed stu laty prowadził do boju zastępy walecznego ludu, znajdowali się w szeregach bojowników chłopi z nad Wisły i Bugu; Mazur szedł obok Rusina, obaj zgodnie przejęci jedną świętą myślą, walką o wolność ojczystej ziemi.

Dziś lud ruski nie bierze udziału w ogólnej uroczystości. Chociaż przywiązany do rodzinnej ziemi i nie wrogo usposobiony dla swych braci Polaków, jednak usuwa się od obchodów narodowych, bo go zbałamucili agitatorowie, własne, a nie jego dobro mający na oku, bo wmówili weń, że jest narodem odrębnym od polskiego i że z nami ręka w rękę iść nie powinien.

Dziś we wszystkich świątyniach polskich, we wszystkich polskich miastach i wsiach kraju naszego święcą uroczystość narodową, w cerkwiach i siołach ruskich na polskiej ziemi— głucha cisza.

. . . .

Pogodę mamy przedziwnie piękną. Słońce blaskiem swojem złoci całe miasto odświętnie przybrane. Już od wczesnego ranku ulice zaroiły się tłumami publiczności; o godzinie 6 rano odezwał się z wieży ratuszowej hejnał, zapowiadający dzisiejsze święto pociech, kapela Harmonii przybrana w strojne mundury polskie, maszerując przez ulice miasta, odegrała pobudkę.

Już w Rynku przyłączyło się do orkiestry „Harmonii" około 3000 publiczności a kiedy orszak, stanął wreszcie na rogu ulicy Kościuszkowskiej i Trzeciego Maja, wzrósł co najmniej do 10.000. W tem miejscu zatrzymała się „Harmonia", zagrała wiekopomną pieśń „Jeszcze Polska nie zginęła" a masy publiczności, bez żadnej komendy odkryły głowy i odśpiewały pełną piersią ten hymn życia.

Pochód następnie, skręciwszy daleko aż na Zielone i ulicę Zyblikiewicza powrócił przed Ratusz.

Około godziny 10 ponownie poczęła się gromadzić publiczność w Rynku, tym razem tak gromadnie, że trudno się było przecisnąć. Wszystko odświętnie ubrane, połyskujące we wspaniałem słońcu wiosennem. Po nad głowami zebranych powiewały z licznych domów przystrojonych chorągwie i sztandary.

Z uderzeniem godziny 10 począł się poruszać pochód, który od Ratusza miał podążyć do Katedry. Stopniowo rozwijał się on, aż wreszcie zwięzłym pierścieniem opasał cały Rynek. Straż obywatelska wybornie zorganizowana i dzielnie spełniająca swe zadanie, utrzymywała porządek, który w najbardziej nawet błahy sposób nie został nigdzie naruszony. Lwowianie dali nowy dowód swej karności i poczucia obowiązku!

Pochód rozpoczął pluton straży ochotniczej, dalej postępowało rękodzielnicze stowarzyszenie „Skała" ze sztandarem, za niem dwanaście oddziałów sokolich ze sztandarem na czele. Prowadzili je: dzielny Durski, chorąży Krzyżanowski i dr. Dziębielewicz. Tuż za „Sokołami" postępowały panie szóstkami uszeregowane w liczbie 400. Kontusiki, barwne czapeczki i inne oznaki narodowe, urozmaicały ten orszak.

Za Polkami zwartym murem stanęli reprezentanci młodzieży polskiej wogóle, niosąc na czele swem sztandar, który, sprawiony w czasie 100-nej rocznicy 3 maja i złożony w muzeum Ossolińskich, w razie uroczystych obchodów przechodzi na chwilę w ręce młodzieży i przyświeca srebrnym orłem wyszytym na jednem swem licu, a N. P. Częstochowską na drugiem licu. Za młodzieżą postępowało „Kółko pedagogiczne" nauczycieli, z kursów miejskich przemysłowych, dalsza część korporacyi ze sztandarami, orkiestra „Harmonii," przygrywająca patryotyczne pieśni, „Towarzystwo strzeleckie" z p. Platowskim jako królem kurkowym na czele, Rada miasta Lwowa, reprezentanci szlachty polskiej, których wiódł hr. Wojciech Dzieduszycki, ks. Czartoryski i inni, „Koło literackie", reszta korporacyi rękodzielniczych ze sztandarami, po których wynurzyły się z mas publiczności prowadzone przez pp. Zielonkę i dr. Kulczyckiego reprezentacye „Kółek rolniczych".

Przodem szli młodzi krzepcy parobcy w krakuskach i charakterystycznych strojach ludowych. Postępowali ostrym żołnierskim krokiem, jak kosynierzy kościuszkowscy, za nimi poruszał wieśniaków, wieśniaczek i do setki wiejskiej dziatwy szkolnej.

Pochód zamykał znowu pluton straży ogniowej ochotniczej. Obszedłszy dwukrotnie Rynek do okoła, skierował się pochód do katedry. Część tylko orszaku uroczystego zdołała się pomieścić w kościele, większość musiała pozostać na ulicy.

W katedrze, przed głównym ołtarzem, na którym rozpięto całun z białym krzyżem, wzniesiono wspaniały katafalk. Około niego stanął las sztandarów korporacyjnych. Uroczystą mszę żałobną za poległych pod Racławicami celebrował ks. infułat Zabłocki. Po nabożeństwie powrócił orszak przez plac Maryacki i ulicę Halicką na Rynek.

W katedrze ormiańskiej odprawił nabożeństwo sam arcybiskup ks. Issakowicz, a u OO. Dominikanów administrator parafii ks. Jankowski. Równocześnie odbyły się uroczyste nabożeństwa w kościele ewangielickim i w templu izraelickim.

Z kościoła pochód w tym samym, co wyżej porządku, podążył ulicą Teatralną, placem Maryackim, Halickim i ulicą Halicką do ratusza, gdzie w wielkiej sali miało się odbyć uroczyste zebranie. Ratusz przystrojony w zieleń i kwiaty.

Sala ratuszowa odświętnie przybrana, zgromadziła w sobie mnóstwo gości. Miejsca na galeryach zajęły panie, w sali zaś zgromadzili się reprezentanci duchowieństwa, władz autonomicznych itd. Pierwsze miejsca zajęli ks. arcybiskup Issakowicz, marszałek krajowy ks. Sanguszko, członkowie Wydziału krajowego, członkowie Rady miejskiej, dyr. Towarzystwa zaliczkowego, Tow. strzeleckie i t. d.

Zebranie zagaił JE. dr. Smolka. Dziś czcimy — rzekł — jedną z najpiękniejszych postaci w historyi naszego narodu. Obchodzimy zaś jego pamięć w dniu 4 kwietnia, w dniu setnej rocznicy bitwy racławickiej, która toczyła się pod hasłem: wolności, równości i braterstwa i w której lud nasz po raz pierwszy brał udział. Wynik ostateczny tej rozpaczliwej wojny nie odpowiadał szlachetnym zamiarom Kościuszki, znękany tem udał się na tułactwo.

Mowę swą zakończył dr. Smolka gorącem życzeniem zwróconem do młodzieży, aby ona, czcząc pamięć Kościuszki, wstąpiła w jego ślady i przyswoiła sobie cenne jego cnoty.

Z kolei zabrał głos Wojciech hr. Dzieduszycki:

„Czcimy dziś Kościuszkę — rzekł — który jak drugi Piast wprowadził dzieje nasze na nowe tory i który po raz pierwszy zawezwał cały naród i mieszczan i kmieciów w sukmanie i żydów do obrony wspólnej Ojczyzny. Czcimy go dziś nie za to, że wygrał kilka bitew, bośmy mieli takich wodzów wiele, którzy sławę oręża polskiego roznosili daleko po za granice, którzy w obcych stolicach bywali jako pogromcy — czcimy go dla tego, że on pierwszy wtedy, gdy Polska cała zdawała się być uśpioną, kiedy się zdawało, że bez wszelkiego oporu damy rozebrać naszą Ojczyznę, że nie będziemy bronić naszych progów, porwał za broń i przypomniał wtedy, że za Ojczyznę należy dać życie."

Prześliczną tę mowę nagrodzono hucznymi oklaskami, poczem chór „Echa" odśpiewał piękną kantatę p. St. Niewiadomskiego. Na tem zakończyło się uroczyste zebranie w Ratuszu.

Przegląd polityczny.

Lwów 4 kwietnia.

Belgijski pomysł rozdziału mandatów poselskich w ten sposób, iżby nawet stosunkowo bardzo małe mniejszości miały w parlamencie swych przedstawicieli, podobał się w Europie wszystkim nowym stronnictwom, które dopiero się wykluwają ze skorupy takich lub owakich doktryn, a choć ów pomysł w samej Belgii nie znalazł uznania i był powodem przesilenia gabinetowego, jednakże za nim prawdopodobnie rozwinie się agitacya, która być może kiedyś będzie święciła zwycięstwo. Z tego względu, a także dlatego, że ów pomysł sam przez się jest bardzo ciekawy, uważamy za właściwe przedstawić go czytelnikom.

Gabinet Beernaerta, który swój projekt przypłacił dymisyą, wychodził ze słusznego w zasadzie założenia, że niedorzecznością jest takie urządzenie, przy którem połowa głosów plus jeden znaczy tyle, co wszystkie głosy, a połowa minus jeden znaczy tyle, co nic, przyczem jeszcze ta pierwsza połowa korzysta przez szereg lat z tej siły, jaką daje jednomyślność opinii wyborców, czyli że przemawia w imieniu tych, którzy właściwie są przeciwnego zdania. System konstytucyjny, oparty na głosowaniu, rzeczywiście tworzy tę niedorzeczność, ale to wina systemu, który można przerabiać w nieskończoność, a jednak nie usunąć z niego tej wady. Dziś razi niesprawiedliwość podziału oddanych głosów na połowę i lepszym wydaje się podział ich na trzy, na cztery itd. części. Gdy już ludzie z tem się zżyją, to pocznie ich razić ten podział tak samo, jak dzisiejszy i wtedy zażądają dzielenia głosów na mniejsze ułamki, a będzie tak szło w nieskończoność, aż do zupełnego absurdu. Byłoby tedy może właściwiej zmienić system, oparty na głosowaniu, na jakiś inny, naprzykład na przedstawicielstwo zawodów, przynajmniej warto nad tem pomyśleć, ale ludziom zawsze trudno zerwać z utartą drogą, zawsze wolą oni półśrodki. Lecz przypatrzmy się tej kombinacyi belgijskiej, którą nazwano proporcyonalnym systemem.

Przedewszystkiem, to, co było prawem, zmieniał projekt Beernaerta na obowiązek, bo skoro miały być uwzględniane wszystkie mniejszości, to potrzeba było, aby głosowanie dawało zupełnie wierny obraz usposobienia kraju, a zatem projekt Beernaerta postanawiał, że każdy Belg musi głosować i za niedopełnienie tego obowiązku bez ważnych powodów będzie karany za pierwszym razem grzywną do trzech franków, za drugim — grzywną do 15-tu franków, za trzecim również grzywną, a nadto przybiciem jego nazwiska na rogach ulic, za czwartym — utratą prawa wyborczego i wybieralności na lat dziesięć i orzeczeniem, że nie może piastować żadnego publicznego urzędu. Akcyą wyborczą oddawał projekt w ręce sądów. Prezydenci okręgowych trybunałów mieli być prezesami komitetów wyborczych. Procedurę ustanowiono taką, że prezes komitetu odczytywałby nazwisko wyborcy, woźny wykrzykiwałby to nazwisko, poczem wyborca, zbliżywszy się do stołu, otrzymywałby od prezesa kartkę, na której sam musiałby napisać swych kandydatów, poczem, złożywszy tę kartkę, rzucałby ją do urny. Tak byłoby, gdyby przyszło do wyborów, jednakże projekt wprowadza taką rzecz nową, że przy pewnych okolicznościach wybory są zbyteczne. Byłoby to mianowicie w następujących wypadkach.

Wyborcy mają prawo zalecać swych kandydatów. Układają oni ich listę, pod nią sami się podpisują i arkusze te przedstawiają komitetowi najmniej na ośm dni przed wyborami. Jeśli okręg wybiera jednego, dwóch, albo trzech posłów, to pod listami musi być najmniej sto podpisów, jeśli zaś wybiera więcej posłów, to pod każdą listą wystarczy pięćdziesiąt podpisów. Te listy muszą być we wszystkich gminach ogłoszone na rogach ulic przez dni ośm. Otóż jeśli nikt nie zaprotestował przeciw tym kandydatom i jeśli oni oświadczyli, że wybór przyjmą, to w ostatnich pięciu dniach przed wyborami już nikt nie ma prawa stawiać nowych kandydatów, lecz musi wybierać między tymi, którzy są na listach, a jeśli na tych listach jest tylko tylu kandydatów, ilu okręg wybiera posłów, to i głosowania nie trzeba, lecz wprost w dzień wyborów prezes komitetu oznajmia, że nie wniesiono żadnego protestu, a zatem kandydaci są wybrani.

O wiele trudniejsza sprawa, gdy postawiono więcej kandydatów na listach, niż okręg wybiera posłów, albo gdy wniesiono protest przeciw którejkolwiek liście. Wtedy wybory muszą się odbyć, a każdy wyborca ma prawo pisać na swej kartce kandydatów z różnych list i tyle tych kartek rzucić do urny, ile głosów posiada, więc jedną, dwie, albo trzy, gdyż, jak wiadomo, uchwalono już system pluralny, dający jeden głos wyborczy każdemu Belgowi, nadto zaś niektórym jeszcze jeden, albo nawet jeszcze dwa głosy. Wyborca może przytem „specyalnie zalecać" tego lub owego kandydata i to zaznaczyć podkreśleniem jego nazwiska na kartce, co później, w razie równości głosów, danych na dwóch kandydatów, posłuży do określenia, który z nich został wybrany. Jeśli pomimo tego powstanie wątpliwość co do pierwszeństwa kandydata, to znaczy przy równości głosów i równości liczby zalecających kresek pod nazwiskiem, decydować powinno miejsce, na którem na kartce kandydat jest zapisany, a zatem naprzykład, jeśli jeden jest zapisany sto razy na pierwszem miejscu, trzysta na czwartem, a dwieście na szóstem, drugi zaś trzysta na pierwszem i trzysta na piątem, to ten drugi jest wybrany. Dodać należy, że najmniejszy błąd na kartce w pisowni nazwiska, w liczbie kresek zalecających, do których wyborca ma prawo, w liczbie kandydatów, których wyborca musi na swej kartce wypisać tylu, ilu okręg wybiera, wreszcie każde przekreślenie nazwiska, każde zamazanie i t. d. unieważnia całą kartkę. Już z tego widzimy, jak ogromną pracę będzie przedstawiało każde skrutynium. Ale to jeszcze nie wszystko.

Oczywiście większość wyborców będzie głosowała wprost na jakąś jedną listę kandydatów, bo w takim razie zamiast mozolnego wypisywania nazwisk na kartce wyborczej, prawo pozwala napisać na niej poprostu numer listy, co dla niepiśmiennych ludzi jest wielkiem ułatwieniem. Otóż w urnie może się znaleźć mnóstwo najrozmaitszych list, skoro każda jest ważną, jeśli ma tylko sto, albo pięćdziesiąt zalecających podpisów. Któreż listy brać podczas skrutynium pod rozwagę? A to jest rzecz ważna, bo przecież idzie o to, aby wszystkie poważne mniejszości były uwzględnione. Więc projekt tak postanawia. Gdzie się wybiera dwóch posłów, tam na listę musi paść najmniej dwie piąte głosów wyborczych; gdzie się wybiera trzech posłów, tam wystarczy trzecia część wszystkich głosów; gdzie czterech, pięciu lub sześciu — tam czwarta część; gdzie od siedmiu do dwunastu — tam piąta część; a gdzie więcej niż dwunastu (są okręgi miejskie wybierające 18) tam część szósta. Która lista otrzymała podczas wyborów mniejszą liczbę głosów, niż powinna otrzymać podług tej skali, ta przy skrutynium odpada, ale przytem trzeba jeszcze powybierać z tych odpadłych list owych kandydatów, na których głosowano imiennie kartkami, trzeba także wynotować tych kandydatów, których nazwiska są na listach przyjętych, ale znowu nie ma ich na kartkach, bo to właśnie może uczynić, iż ci kandydaci nie otrzymali potrzebnej liczby głosów. Widzimy z tego, jakie-to będą nieskończone rachunki! Ale i to jeszcze nie wszystko.

Może bowiem się zdarzyć, że na żadną listę nie padła potrzebna (minimalna) liczba głosów podług skali podanej wyżej. Albo może się zdarzyć, że na którąś jedną padło ich tyle, jednakże wszystkie razem dopuszczone listy nie przedstawiają połowy głosów wyborczych w okręgu. W takim razie biorą się i te listy, które odrzucono z początku, jako niemające minimalnej podanej wyżej liczby głosów. Bierze się najpierw ta lista, na którą stosunkowo głosowano najliczniej, potem następną i t. d. dopóki suma głosujących na te listy nie wyniesie połowy wszystkich wyborców w okręgu.

Tak kończy się historya z listami, zaczyna się druga. Oczywiście, na każdej liście wypisano tylu kandydatów, ile okręg wybiera posłów. Jeśli uważać, że wybrani są ci, których lista otrzymała najwięcej głosów, to mniejszości nie będą miały swych przedstawicieli w parlamencie, a przecież właśnie o to idzie, aby ich miały. Trzeba zatem z każdej listy, dopuszczonej do skrutynium, wziąć po parę nazwisk. A zatem, po ileż wziąć tych nazwisk i które?

Projekt Beernaerta przepisuje taką manipulacyę: Trzeba zliczyć wszystkie głosy, oddane na listy, które dopuszczono do skrutynium, i otrzymaną cyfrę podzielić przez tyle, ile posłów wybiera okręg, więc w jednem miejscu przez dwa, w innem przez trzy, jeszcze w innem przez cztery i t. d. aż do ośmnastu. Otrzymany iloraz pokazuje ile wypadło głosów na jeden mandat. Otóż teraz trzeba wyrachować ile razy ta liczba głosów, przypadająca na jeden mandat, zawiera się w pierwszej liście i tyle na tę listę padło mandatów. To samo robi się z listą drugą, potem z trzecią i t. d. dopóty, dopóki nie są rozdzielone wszystkie mandaty, którymi okręg rozporządza. Gdy się ten podział skończył, wówczas reszta list, choć przyjętych do skrutynium, odpada.

---

14)

SWAT

Powieść współczesna

przez

Wincentego hr. Łosia.

(Ciąg dalszy).

XI.

Ludwik spał jeszcze w swoim pokoju, a pan Artur palił fajkę, popijając mocną herbatę.

Był zmęczony i przygnębiony moralnie, bo też nie wiodło mu się rzeczywiście. Sam porównywał siebie do owego konia, którego widział kiedyś na wsi, chodzącego w dawnego systemu kieracie. Konisko, pokryte potem i pianą, wciąż dreptało, a deska pod niem wciąż się zapadała. Tak! on był od kilku tygodni takim koniem. Wysilał się na pomysły, działał i stał wciąż w miejscu. Teraz potrzebował dowiedzieć się, co między Ludwikiem a jego gołąbeczką wczoraj zaszło, a zarazem bał się tej wiadomości, która mogła mu odebrać wszelką otuchę. Dotychczas nie rozumiał przeszkód; teraz napotykał je w najważniejszej dla siebie sprawie, bo tak się przejął swoim planem, tak związał z nim widoki własnej przyszłości, że już nie wystarczało mu to wygodne, próżniacze życie, które sobie urządził. Chciał je zapełnić, a do tego celu, zdawało mu się, że potrzebuje niezbędnie „gołąbeczki", jako bliskiej powinowatej i żony ostatniego Czajskiego, a przyszłej matki dalszych rodu pokoleń. W rozpieszczonym sybarycie budził się potomek ludzi, których krew rycerska pędziła na Tatarów i Szwedów; on wierzył w tę krew, wierzył w nią zawsze, a dziś silniej, niż kiedykolwiek.

Spojrzał na zegar i poruszył głową z niezadowolnieniem. Wskazówki wolno się poruszały. Pan Artur pragnął szybkiej akcyi, bo tylko ona mogła go wybawić z ambarasu. Tu spał skompromitowany Ludwik, którego chciał żenić; tam w hotelu Europejskim rozgościła się okłamana przez hrabiego pani Walerya; tam u Bolskich płakała „gołąbeczka", a tam znowuż u siebie w domu wściekała się pani Karolina.

Był w „opałach". Oszukiwał zwodził, mydlił i w końcu mógł się narazić na grubą awanturę. Na jego to sumienie spadały łzy Marioli. Jemu mógł robić wyrzuty ośmieszony Ludwik. Jego mogła napaść pani Walerya i zjeździć „od ostatnich".

Wtem drzwi się uchyliły, i stanął w nich Ludwik w szlafroku i z fajką o długim cybuchu.

— Doskonale tu u ciebie! — zawołał — Łóżko sztuczne z kanapy wyborne.. kawa wyśmienita, jakiej od śmierci babki nie piłem, a umarła temu lat trzydzieści, co?

— Trzydzieści! — potwierdził hrabia.

— Cicho... dywany... cybuchy wonne i nie nowe, tytoń nie suchy i niemokry, prześcieradła niegrube i nie śliskie, kołdra nieciężka a ciepła, służba usłużna a nie nudna, piece grzejące a nie rozpalone. Idealnie! Ty masz talizman komfortu. Jeśli się kiedy ożenię, to mi wszystko urządzisz.

Hrabia był już rozbrojony. Kuzyn pogłaskał go po najczulszem miejscu jego duszy i ciała. Przyglądał mu się, czy mówił seryo, czy też pochlebstwem chciał uśmierzyć spodziewany i słuszny gniew.

— Jeśli herbata będzie taką, jak kawa, — mówił Ludwik, — jeśli śniadanie będzie takie, jak noc, to tu żyć tylko i umierać u ciebie.

Hrabia ożywił się.

— Ha? A co? dobrze ci? wygodnie?

— Powtarzam: idealnie!

— Birbancie!

— Czy uważałeś tę małą wczoraj?

Pan Artur zrazu nie wiedział, o kim była mowa, ale połapał się wkrótce.

— Uważałem.

— Podobała ci się?

— Podobała. Podobna do trufli...

Porównanie było tak trafne, iż obaj śmiać się zaczęli.

Służący równocześnie wniósł tacę z kipiącym samowarem, a herbata zaparzona napełniła pokój odurzającym zapachem.

Lody zostały przełamane.

Hrabia Artur, pyknąwszy z fajki, zagadnął kuzyna:

— Za chwilę muszę się wziąć do naprawienia tego, coś wczoraj popsuł. Może mi zechcesz powiedzieć, coś wypłatał?

— Dalibóg nie pamiętam, — odparł Ludwik z miną, niezupełnie wzbudzającą zaufanie. — Przecież do mnie pretensyi mieć nie możesz? Dolewałeś mi szampana, a wiesz, że to wino, dobrze zamrożone, dopiero po kilku godzinach działa.

— Sądziłem, że ci doda animuszu.

— Nie było potrzeby. Należę do tych ludzi, co to, popchnięci w pewnym kierunku, jak nakręcone zabawki, póty biegną prosto, dopóki sprężyna działa. Ty jesteś dla mnie sprężyną... Zgodziłem się, poddałem, lecę..

Słowa kuzyna napełniły hrabiego rozkoszą.

— Więc — rzekł rozpromieniony — będziesz zabawką do końca, a ożenię ciebie, zobaczysz.

— Ależ będę, czem zechcesz. Przecież tylko przez posłuszeństwo ożenić się mogę.

— Czyż ci małżeństwo zawsze ci jest wstrętne?

— Nie, tylko niepotrzebne. A zbyt lubię wygody, by podejmować niepotrzebne trudy. Skoro jednak ty za mnie działasz... skoro mi wróżysz nieznane dotąd uciechy... skoro wreszcie obiecujesz urządzić mi dom z komfortem... skoro obiecujesz mojemu synowi zapisać swoją fortunę... skoro mi zaręczasz wkońcu, że mnie żona nie zdradzi.. *passe! banco!* i jazda!

— Jazda! — powtórzył hrabia Artur, zrywając się. — Jazda! Gołąbeczka gołąbeczką... Domyślam się, co zaszło. Zapomniałeś, że mówisz z panną Bolską, i sądziłeś, że masz do czynienia z „truflą"!

Ludwik się zaśmiał.

— Trzebaż mi było wytłumaczyć różnicę... Mówiłem ci nieraz, że panny...

Ale hrabia już nie słuchał, zrzucił z siebie szlafrok, przywdział surdut i zabierał się do wyjścia.

— Słuchaj, ty urwipołciu! — zawołał do kuzyna. — Nie wychodź mi z domu. Walerya nie wyjechała. Posyłałem dziś kuchtę do hotelu. Może wpaść jak burza, jak huragan. Gdyby się jakim cudem dowiedziała, że tutaj jesteś... Pamiętaj, że spotkać się z nią nie możesz. Babie mogłoby to zaostrzyć apetyt i nie wyjechałaby z Warszawy... a i na ciebie niewiele liczę. Te przyzwyczajenia kawalerskie, te romanse światowe... to do dyabła! Gdyby przypadkiem zjawiła się, to zmykaj. Gdybyś jednak drapnąć nie mógł, to jest szafa — tu wskazał na olbrzymią, ślicznie rzeźbioną gdańską szafę — która wygodnie cię pomieści, a która już służyła w podobnym wypadku. Lat temu dziesięć, gdy ostatecznie postanowiłem pozbyć się mojej baletnicy, wchodziłem do tej szafy, ile razy kto zadzwonił.

— Cha! cha! — zaśmiał się Ludwik, a pan Artur, widząc, że bawi go, ciągnął:

— Bo to mi nie konweniowało wyjechać, a musiało przez jakiś czas uchodzić, że mnie nie ma w Warszawie. Wpadała ona dziesięć razy na dzień i nieraz trzymała mnie po godzinie w szafie. *On'y est parfaitement bien.* Te gdańskie szafy są jedyne. Kosztowała tysiąc i coś rubli, ale już się opłaciła i jeszcze opłaci.

To powiedziawszy, uścisnął dłoń Ludwika i wybiegł krokiem młodzieńca. Na ulicy dopadł pierwszej dorożki i kazał się zawieźć do pani Zabielskiej. Marsowate jego oblicze rzeczywiście przypominało raczej twarze hetmanów niż zniewieściałych magnatów. Jakoż myśl nieokreślona jeszcze, niewycieniowana, świtała mu w głowie i podniecała jego energię. Widok ruchu na ulicach tym razem nie dziwił go, ani nie budził w nim przykrych rozpamiętywań. Bo i on przecież.. on, który o tej porze zwykle od lat tylu, opasany fartuchem, bezmyślnie przesiadywał w kuchni, dziś także do tych ludzi czynu należał. Był damnym ze swego powołania, ze swej roli.

Dorożka zatrzymała się; hrabia wyskoczył z niej i biegł do apartamentu pani Karoliny.

— Ach! hrabio! — zawołała gospodyni, skoro tylko wszedł do salonu — czyż można? czyż to podobna? Pański brat albo jest waryatem, albo był pijany.

— To ostatnie!

— Jakże mogłeś hrabia pozwolić? — ciągnęła, widocznie zadowolona z tej sposobności zaczęcia kazania.

— Ależ powiedz mi pani, co się stało?

— Co się stało? — podchwyciła pani Zabielska z oburzeniem. — Jak mógł Marioli mówić o rogach?

— O rogach jej mówił?

— O rogach w najnieprzyzwoitszy sposób.

— A niech-że go!..

Po chwili milczenia zapytał:

— Cóż poczniemy?

— *Il n'y a rien à faire.*

— Żartujesz pani.

— Pani Bolska oburzona, woli nędzę, powiedziała mi, niż zięcia z *café-chantant.*

(Ciąg dalszy nastąpi).

Przypuśćmy tedy, że pewien okręg wybiera sześciu posłów i że wniesiono pięć list, zawierających po sześć kandydackich nazwisk. Po głosowaniu trzy listy odrzucono, bo na pierwszych pięć tyle ludzi głosowało, że jest kandydatów 30-tu. Dalej obliczono, że na pierwszą listę wypadło trzy mandaty, a na drugą dwa, na trzecią jeden, razem sześć, a więc listy czwarta i piąta nie otrzymały żadnego mandatu.

Któż został posłem? Pierwsza lista zawiera sześciu kandydatów, ale na nią wypadły tylko trzy mandaty, więc pierwsi trzej, zapisani na liście, zostali wybrani. W ten sam sposób z listy drugiej otrzymali mandaty pierwsi dwaj, a z listy trzeciej tylko pierwszy. Ale tu wchodzą jeszcze w grę owe „kreski polecające", o których mówiliśmy wyżej. Ktoś zapisany na liście ostatnim może mieć więcej tych kresek, niż zapisany pierwszym, więc jemu należy się mandat. A zatem po różnych obliczeniach głosów, trzeba jeszcze należycie uszykować kreski.

Tak się wybiera izba deputowanych i tak samo senat, z tą jednak różnicą, że każdy powiat sądowy stanowi okręg wyborczy dla izby deputowanych, a każda historyczna prowincya, których w Belgii jest dziewięć, tworzy okręg wyborczy do senatu. Różnica jest jeszcze i ta, że powiaty wybierają jednego, dwóch i t. d. aż do ośmnastu posłów, zaś najmniejsza prowincya wybiera trzech, a największa czternastu senatorów.

Tak się przedstawia projekt Beernaerta.

Mówią, że znany filozof Kant czasami sam nie rozumiał swoich traktatów, tak one były niezmiernie zawikłane. Sądzimy, że Beernaert mógłby to samo powiedzieć o swym projekcie, który ułożył wspólnie z ministrem spraw wewnętrznych Lejeunem i profesorem gandawskiego uniwersytetu D'Hondt'em. Oczywiście niepodobna było zgodzić się na taki galimatyas, więc Beernaert i Lejeune podali się do dymisyi. Ale tu powtórzyło się to samo, co w Austryi po Steinbachowskim projekcie reformy wyborczej: przerażni agitatorowie przewrotów stanęli po stronie pomysłu Beernaerta i przez to jeszcze bardziej zagmatwali sytuacyę, trudną i bez tego w skutek mozolnych walk o rewizyę konstytucyi. A powtarzamy, że ten galimatyas podobał się także agitatorom w innych krajach, stał się ideałem, do którego dążyć trzeba, bo rzeczywiście taka gmatwanina znakomicie ułatwia bałamucenie wyborców.

Prowizoryczny traktat handlowy, zawarty między Austryą a Rosyą na czas od 2 kwietnia do 13 lipca, orzeka, że Rosya nie przyznaje Austryi tych wyjątkowych przywilejów, jakie przyznała Norwegii, natomiast Austrya nie przyznaje Rosyi ułatwień, jakie poczyniła Serbii dla bydła, a Rumunii dla nafty. W ogóle to prowizoryum opiera się na tych samych zasadach, co traktat handlowy rosyjsko-niemiecki. Zatem rolnicze i naftowe interesa naszego kraju są zabezpieczone. Podczas trwania prowizoryum ma być przestudyowany i przygotowany do zatwierdzenia traktat stały na lat dziesięć.

Porażka radykalizmu

Piszą nam z Wiednia 2 kwietnia:

Dzisiejszy wybór uzupełniający w tutejszym pierwszym cyrkule skończył się, jak przewidywaliśmy, zwycięstwem kandydata umiarkowanego p. Konstantego Noske'go i dotkliwą porażką stronnictwa radykalnego. Pan Noske otrzymał 2108 głosów, kandydat radykalny adwokat Ofner 1123, kandydat antisemicki Rabenlechner 513 głosów. Pierwszy cyrkuł wiedeński, wybierający czterech posłów, od dawnych czasów był uważany za najpewniejszą warownię stronnictwa liberalnego. Jeszcze w ogólnych wyborach z marca 1891 przeszli kandydaci liberalni: Herbst, Kopp, Jacques i Exner z 5493 oddanych głosów (cyrkuł ten liczy 7000 wyborców) otrzymali od 3859 do 3448 głosów, gdy na kandydatów konserwatywnych padło 1500 do 1300 głosów, a kandydat demokratyczny, znany wydawca *Sonn und Montagszeitung* Scharf otrzymał tylko — 314. Uwzględniając te cyfry wyborców r. 1891 i dawniejsze, wybór kandydata stronnictwa liberalnego nie byłby niegdyś najmniejszej wątpliwości ulegał. — W r. 1892 nie była się w tym okręgu dokonała jeszcze ewolucya. Wtedy, po śmierci dra Herbsta, dnia 10 października r. 1892 w okręgu tym został wybrany znany, mocno zbliżony do socyalizmu, poseł radykalny dr. Kronawetter. Wszyscy rozumieli powszechnie, że ten jegomość liberalnym wyborcom odpłaci się grubą niewdzięcznością, jakoż, odkąd powołany zasiadł w izbie posłów w miejsce p. Herbsta, radykalno-demokratycznemi sztuczkami walczył z niemiecką lewicą, a gdy wyborcy zamierzali zganić to zachowanie się swego posła, za pomocą socyalistów przedmiejskich rozpędził zebranie zwołane do sali Ronachera.

Nie dość na tem, nieszczęsne ustępstwo, uczynione w r. 1892 przez stronnictwo liberalne radykalizmowi, zachęciło żywioły skrajne do nowego zamachu na mandaty starego miasta. Przeciwko kandydatowi niemieckiej lewicy wystąpił Ofner z programem ultraradykalnym. Wprawdzie w ostatnich dniach jego przyjaciele na wyścigi zapewniali, że nie jest socyalistą. Otwarcie mówiąc, wybór takiego Adlera, Ellbogena, Luegera etc. byłby mniej szkodliwy, niż wybór posła, który niby to nie jest socyalistą, ale swym programem toruje drogi socyalizmowi. Otwarty socyalista nie oszuka nikogo z tych, którzy bronią historycznego ładu społecznego, ale tacy Ofnerowie, Kronawetterowie etc., walcząc podstępem, mogą łatwo szyki obrońców historycznego ładu społecznego wprawić w zamieszanie. Wybierając, pomimo namiętnej agitacyi radykałów, Noskego, wyborcy starego miasta złożyli dowód, że doskonale rozumieją owe niebezpieczeństwo. Konserwatyści postąpili sobie roztropnie, nie występując z własnym kandydatem, który nie miał żadnych szans, a byłby może ułatwił wybór kandydata radykalnego. Postawiona w ostatniej chwili przez tutejszy organ antisemicki kandydatura Rabenlechnera, której z góry się wyparł *Vaterland*, nie miała żadnego politycznego znaczenia. Był to akt dziecinnej psoty. Wybór Noskego jest nietylko pożądanem zwycięstwem żywiołów umiarkowanych nad radykalnemi, ale nadto, ponieważ ten kandydat oświadczył się za koalicyą, gdy przeciwnik jego Ofner wystąpił przeciwko niej, dowodzi, iż pomimo systematycznych podburzań radykalnych dzienników, ludność niemiecka przystaje na koalicyę. Niedawno temu pod tem samem hasłem wybrany został ponownie w Karyntyi dr. Steinwender. Dwa te wybory oznaczają więc sukces koalicyi wobec ruchu radykalnego. Zbyteczna podnieść, że wszelkie zwiększenie się w parlamencie zastępu posłów tego kalibru, co Kronawetter, Pernerstorfer, Ofner etc., albo też takich antysemitów, którzy stanowczo grawitują ku Rosyi, wielceby Kołu polskiemu utrudniało normalne wywiązanie się ze swego zadania parlamentarnego. Możliwą jest nasza kooperacya parlamentarna z wszystkiemi stronnictwami umiarkowanemi, absolutnie niemożliwą z owym radykalizmem, który na polu politycznem i społecznem dąży do zupełnego wywłaszczenia tych, którzy mają coś do stracenia.

KORESPONDENCYE.

Wiedeń 2 kwietnia.

W przeddzień otwarcia parlamentu dziwne przychodzą wiadomości z Pragi. Gdyby kto po debiucie onegdajszym Strańskyego był jeszcze wątpił, że „coś się zepsuło w obozie młodoczeskim" to pouczyć go mogą najwyraźniej występy najnowsze samych młodoczechów. W Pilźnie młodoczeski poseł Szwarc przemawiał przed wyborcami wprost przeciw Omladinistom i przeciw temu radykalnemu skrzydłu młodoczeskiego obozu, które solidaryzuje się z Omladinistami. Omladina niweczy zabiegi młodoczechów swoją szaloną i bezprogramową agitacyą. Nikt nie może szanować młodoczechów, kiedy się im w ich własnym domu rzuca kłody przed nogi. Lud musi się przekonać, że p u s t e m i s ł o w a m i niczego zdobyć nie można, że d z i a ł a ć wypada — a na działanie żadne Omladina nigdy się nie zdobędzie. Młodoczesi nic też wspólnego mieć nie chcą z tymi ultra radykałami socyalistycznego zabarwienia, którzy nazwali się „partyą postępu" a których program jest czystem szaleństwem. Jeśli młodoczesi dotychczas nie wystąpili otwarcie przeciw Omladinistom, to kierowały nimi tylko dwa względy. Raz nie chciano przed procesem przeciw Omladinie ostentacyjnie przeciw niej się oświadczać. Powtóre liczono się też z r a d y k a l n i e j s z y m i c z ł o n k a m i k l u b u m ł o d o c z e s k i e g o, k t ó r z y o t w a r c i e s k ł a n i a l i s i ę k u O m l a d i n i s t o m.

W zdaniu tem poseł Szwarc otwarcie przyznał, że w obozie młodoczeskim jest wielki i niczem wyrównać się nie dający rozdział. Jeden z wyborców napadł też w dość namiętny sposób na Strańskyego za jego oświadczenie, że program Omladinistów stanie się niebawem programem całego narodu czeskiego.

Oto do czego doszli prorocy opozycyi. Siali wiatr i zbierają burzę. Omladiniści krzyczą, że młodoczesi są „tchórzami i zdrajcami", bo się ich wypierają i do łączności z nimi przyznać się boją — a młodoczesi krzyczą, że omladiniści są szaleńcami i kompromitują sprawę narodową i walkę o ustępstwa ze strony rządu. Młodoczesi przygotowują się do wymiecenia swego rynku z „radykalniejszych radykałów" i nie cofają się przyciśnięci do muru przed amputacyą na własnem ciele, która niebawem nastąpić musi po wycofaniu się skrajnego skrzydła z karbów klubowych, i o której może już w dniach najbliższych w parlamencie się dowiemy stanąwszy jednego poranka przed rozdwojonym w izbie posłów klubem młodoczeskim. Omladiniści znowu nie przestają agitować między robotnikami i rzemieślnikami, skupują gazety, organizują komitety centralne powiatowe, przyrzekają ludowi złote góry i czepiają się zwłaszcza najmodniejszego hasła powszechnych wyborów, przyczem napadają na swoich starszych braci młodoczeskich, zarzucając im, że wcale im nie chodzi o dobro robotników, że są oni zastępcami m i e s z c z a ń s t w a b o g a t e g o, wrogiego biednym klasom pracującym i że cała akcya młodoczeska za powszechnemi wyborami jest tylko blichtrem, piaskiem sypanym w oczy biednemu ludowi czeskiemu a co najwięcej strategicznem manewrem przeciw rządowi. Omladiniści jednem słowem oddali się na usługi socyalnej demokracyi, której zasadami większość ich przejęta jest.

Agitacye te nie pozostały bez skutku i na każdem niemal zgromadzeniu wyborczem interpeluje ktoś posła młodoczeskiego zdającego sprawę, jak zachowuje się obóz młodoczeski w kwestyi wyborów. W Kolinie wczoraj poseł Engel po wywodzie, mającym przekonać, że młodoczesi wymusili na rządzie zawieszenie dalszej akcyi „ugody niemiecko-czeskiej" musiał zapewniać zgromadzenie o sympatyach swego obozu dla robotników. „Stoimy bliżej robotników, niż szlachty, która opuściła z obawy przed stratą przywilejów grunt prawa państwowego. Zawsze zachowamy w oku kwestyę powszechnych wyborów".

Ubieganie się gorączkowe o życzliwość proletaryatu zbyt tu jest widocznem. Pytanie tylko, kto w tej gonitwie zwycięży: młodoczesi, czy omladiniści. Zdaje się, że ci, co więcej przyrzekną, choćby i nie dotrzymać nie mogli.

Strejk tutejszy robotników w zakładach gazowych ma się ku końcowi. Dyrekcya zakładów nie ustąpiła ze swego stanowiska, że do niej tylko należy przyjmywać lub odprawiać robotników i że żadnego nie znosi ze strony robotników wmięszania się. Robotnicy przekonawszy się, że podczas trzydniowej pauzy w ich zajęciu zakład na żaden szwank nie był narażony i sprowadzonymi wyrobnikami różnych kategoryi wykonywał wszystkie roboty, zaczynają powoli zgłaszać się z prośbą o pracę. Dyrekcya najął wszy kilkuset ludzi biednych, nie może ich teraz odprawić bez powodu. Strejk więc skończy się tem zapewne, że wielka część dawniej zajętych robotników zostanie bez pracy.

MAŁY FELJETON.

Wizyta u Fałata.

Wśród plejady naszych malarzy, niezaprzeczenie Julian Fałat w pierwszym stoi szeregu. Artysta ten, od pierwszego występu swego na arenie artystycznej, porwał widzów siłą swego oryginalnego talentu, swoją umiejętnością podpatrywania scen z życia i typów, oraz wielce charakterystyczną plastyką w oddaniu ich. Począwszy od małych, przeważnie charakterystycznych akwareli, a skończywszy na obrazach większych rozmiarów, zazwyczaj z życia myśliwskiego zaczerpniętych, wszystkie dzieła Fałata jednały mu coraz nowe laury i stanowiły oczywisty dowód, że talent jego znajduje się w ustawicznym rozwoju i pcha go na coraz wynioślejsze wyżyny.

Tak się przedstawia Fałat tym, którzy go znają tylko z obrazów, dla tych jednak, którzy, jak niżej podpisany, bliżej z nim się zetknęli, ma on jeszcze inny urok nieprzeparty. P. Julian jest towarzyszem niezrównanym, myśliwym zawołanym, kolegą i przyjacielem doskonałym — wszystkie te zaś przymioty łączy z humorem zawsze pogodnym i darem opowiadania tak wyjątkowym, że chyba jeden tylko Sienkiewicz przewyższa go w tym względzie. To też chwile z nim spędzone zaliczyć można do najprzyjemniejszych, które długo żyją w miłem wspomnieniu i których powtórzenia pragnie się gorąco.

Nic przeto dziwnego, że znalazłszy się na bruku berlińskim, wskoczyłem coprędzej do pierwszej lepszej dorożki i rzuciwszy woźnicy: „Schillstrasse!" — podążyłem do Fałata. Powóz toczył się żwawo wśród długiego szeregu prześlicznych will Thiergartenu. Dzień był pogodny, więc kto żyw, wyległ odetchnąć świeżem powietrzem wspaniałego parku. Rozglądając się na wszystkie strony, anim zmiarkował, kiedy skręciliśmy w boczną ulicę, a woźnica, zatrzymując konia, odwrócił się ku mnie i zapytał: „A który numer?"

Otóż i kłopot! Numeru zapomniałem! Nie było rady, wysiadłem więc z dorożki z zamiarem peregrynowania od bramy do bramy, dopóki nie znajdę siedziby p. Juliana. Wchodzę do pierwszego domu—nie! do drugiego—także nie! do trzeciego—ten sam rezultat! Zły na siebie samego, skierowywam kroki do czwartej bramy, gdy wtem zbliża się do mnie jakiś jegomość i dotykając mego ramienia, rzecze:

— Widzę, że pan tu obcy i szukasz kogoś?

— Istotnie—odparłem—szukam pracowni Fałata. Może pan wie coś o niej?

— *Na, ob?* —rzucił mi ze znaczącym uśmiechem. — Jeszczeby co! Przecież każde dziecko panu wskaże.

— Prowadź-że mnie, mój łaskawco—zawołałem uradowany.

Jakoż, przebiegłszy jednym tchem trzypiętrowe schody, pukaliśmy za chwilę do pracowni naszego artysty.

Rzucam zasłonę na potok serdecznych okrzyków i urywanych zapytań, jakie naprzemian wyrywały się z ust Fałatowi i mnie. Nie widzieliśmy się lat kilka, więc nic dziwnego, że pierwsze wrażenie spotkania poświęciliśmy sobie.

— A wiesz co — rzekł po chwili Fałat — dobrze trafiłeś, bo oto właśnie skończyłem trzy akwarele, które wysyłam do Krzeszowic dla hr. Andrzeja Potockiego. Chodź-że, zobacz je!

Naturalnie nie dałem sobie dwa razy powtórzyć propozycyi. Były to epizody z polowania w Staszowie. Dziwna rzecz, widziałem tyle obrazów Fałata na ten sam temat, a jednak każdy miał dla mnie nowy zupełnie urok i przykuwał do siebie wyłącznie, nie budząc żadnych reminiscencyi, ani porównań. To bogactwo pomysłu i fantazyi, ta zdumiewająca umiejętność wydobywania coraz nowych efektów, ten koloryt dziwnie przystosowany do przedstawianej chwili lub sceny, któreśmy zawsze podziwiali u Fałata, dziś uwydatniają się jeszcze więcej, odkąd artysta, jeżeli tak powiedzieć można, zasklepił się w jednym przedmiocie.

Oto n. p. widok Staszowa. Na tle śniegu, puszysto pokrywającego ziemię, zarysowywa się w pewnem oddaleniu osada. Zabudowania i chaty, spowite brzaskiem dziennym, nie zamykają perspektywy, lecz pozwalają w dali dostrzegać kontury lasu, gdzie właśnie odbędą się łowy. Myśliwi wyruszą zapewne niebawem, bo oto w całej osadzie panuje ruch gorączkowy. Nagonka zaczyna się zbierać. Jedni spieszą już na wyznaczone miejsca, inni wychodzą dopiero z chat, po nad któremi góruje wieża kościelna, wskazująca, niby palcem na niebo, pokryte kobiercem szarych chmur śniegowych. Dzień zapowiada się pomyślnie. Najlżejszy wietrzyk nie porusza bezlistnemi gałęziami drzew. Dla myśliwych doskonała wróżba.

W istocie, tylko Fałat umie w niewielki pejzaż tchnąć tyle życia i prawdy i przykuć do niego widza tak dalece, że mu żal odwrócić oczu do drugiej akwareli.

Jesteśmy teraz wśród lasu. Gruba warstwa śniegu pokryła gałęzie, które pod tym ciężarem uginają się ku ziemi. Sądząc z obfitego podszycia lasu, wnosić należy, że w tym zakładzie zwierza będzie sporo. Na krańcu lasu, długim szeregiem rozwinęła się nagonka, oczekując przybycia myśliwych, którzy właśnie nadjeżdżają w kilku sankach. Rozglądam się po postaciach. Każda inna, a taka charakterystyczna! Snać naganiacze długo czekali na myśliwych. Mróz dokuczył im już srodze, każdy więc, jak może, rozgrzewa skostniałe członki. Widok nadjeżdżających sanek i otulonych w futra myśliwców rozbudza nadzieję, że skończy się niebawem chwila przykrego i nudnego czekania, tem więcej, że leśniczy spieszy już po ostatnie rozkazy. Za chwilę śpiący las rozbrzmiewać będzie nawoływaniem naganiaczy, a zwierz pomknie ze swego legowiska. Przyznaję, że wpatrując się w obraz, czułem, jak zimno przenika mi kości, a żyłka myśliwska tętni żwawo w mej piersi.

Trzecia akwarela przedstawia śniadanie. Nadeszła pora wypoczynku i zaspokojenia dokuczającego po zapasach myśliwskich głodu. Artysta wybrał na to małą polankę wśród lasu, po której rozrzucił pozapalane ognie. Wszystko co żyje, ciśnie się do nich. Kilku zziębniętych naganiaczy przysiadło aż na ziemi, żeby bliżej ogrzać zgrabiałe ręce. Wiatr figlarz karze ich za to, bo rzucił kłębem dymu i żaru, który ich zmusza do szybkiej rejterady.

Na pierwszym planie spłoszona w ten sposób grupa naganiaczy zasłaniająca oczy od gryzącego dymu, jest po prostu arcydziełem. Na drugim planie widać myśliwych, którzy podzieleni na grupy, opowiadają, wśród śmiechu, epizody polowania, gdy tymczasem służba krząta się żwawo około zagrzania śniadania. Wrzawa, życie, śmiechy, humor kipi tu ze wszystkich stron. Odgaduje się niemal, co każda osoba mówi, słyszy się owe anegdotki i opowieści, które krążą. Jednem słowem, obraz porywa i wchłania w siebie widza, który zapomina, że jest tylko widzem i zdaje mu się, że w tej żywej scenie sam bierze udział. Komu dane będzie oglądać te trzy obrazy Fałata, usprawiedliwi mnie, żem w tej chwili szczerze zazdrościł hr. A. Potockiemu tych trzech klejnotów.

Niech mi daruje pan Julian, że zdradzę jego tajemnicę. Oto w początkach maja urządza on w jednym z salonów berlińskich wystawę swoich obrazów. Dzięki temu, zastałem w jego pracowni niezwykle bogatą kolekcyę prac, będących na wykończeniu, albo już zupełnie gotowych. Niepodobna mi szczegółowo rozbierać wszystkich obrazów, po większej części olejnych. Zapoznam tylko czytelnika z trzema większych rozmiarów, a sądzę, że komu tylko okoliczności pozwolą, podąży na tę rzeczywistą ucztę artystyczną.

Muszę przedewszystkiem zaznaczyć, że Fałat ostatniemi czasy skłonił się ku pleneryzmowi. Mówię z umysłu „skłonił się", bo bynajmniej plenerzystą krańcowym nie został, ale przejął od tego, częstokroć tak wykoszlawionego kierunku w malarstwie, to, co było w nim najlepsze, a więc ów pogodny, świetlany, niemal przeźroczysty koloryt. Wpływ ten ujawnia się na będących w mowie pracach.

Pierwsze miejsce należy się scenie z niedźwiedziem. Biedny miś, wypłoszony z legowiska, mknie przez śniegiem usłaną polankę, na której zgraja psów osacza go co chwila. Niemałą stoczył już z niemi walkę, bo piana, zmięszana z posoką, obficie płynie mu z pyska. Ruch spłoszonego i rozjuszonego zwierza jest tak doskonale uchwycony, że widzi się go niemal biegnącego. A pejzaż! Trzeba go, doprawdy, widzieć, aby mieć o nim wyobrażenie. Śnieg, niby monotonnie biały, w oświetleniu słońca mieni się błękitnemi kolorami. Wierzchołki brzeziny, okalające polankę, stanowią przepyszną koronkę na tle sinego widnokręgu. Perspektywa po za polanką rozpościera się na przestrzeń tak rozległą, jak daleko sięgnąć może wzrok widza.

Drugi obraz przedstawia polowanie na wabia. Z pośród oparów, które budzący się dzień wydobywa z bagnistego, ubogo zadrzewionego lasu, wysuwa się olbrzymi łoś, buchający parą z nozdrzy i pyska. W tejże chwili z ukrycia pada strzał, zabójczy widocznie, bo biedne zwierzę pochyla się już do upadku. Nie mówię już o samej scenie, oddanej z właściwą Fałatowi plastyką, ale to mgliste, przesiąknięte wilgocią powietrze, ta rosa, pokrywająca trawy, liście drzew i paproci, wreszcie ten ponury ton karłowatego lasu, znamionują w artyście poczucie prawdy i bogactwo środków ekspresyi poprostu wyjątkowe.

Łoś stanowi także przedmiot trzeciego obrazu Fałata. Tym razem wychodzi on przed zachodem słońca na moczadła, dla szukania żeru. Dwie klępy w oddaleniu postępują za nim, zarywając się również, jak on, w świeżo po zimie rozmokłej ziemi. Czerwone światło skłaniającego się ku ziemi słońca, oblewa cały pejzaż, rumieniąc lśniące się błota i wody. Artysta z prawdziwą maestryą umiał przedstawić widok niedostępnych niemal dla stopy ludzkiej moczadeł i roztoczyć nad niemi przejrzyste powietrze gasnącego dnia wiosennego.

Czas i szczupłość miejsca nie pozwalają mi zdać sprawy z reszty obrazów p. Juliana, a przygotował on ich na wystawę swoją przeszło 20. Mogę tylko zaręczyć, że wszystkie one świadczą wymownie, iż talent naszego artysty znajduje się u szczytu swego rozwoju.

Nałęcz

KRONIKA.

Lwów 4 kwietnia.

Ruble rosyjskie. Do prezydyum komitetu kościuszkowskiego we Lwowie, nadeszła z Krakowa poważna wiadomość, że u niektórych osób aresztowanych za wybijanie szyb lub za namawianie do wybijania, znaleziono ruble rosyjskie, nadto że tłumami, które wybijały szyby, kierowały osoby, zupełnie w Krakowie nieznane.

Mianowania. Prezydyum wyższego sądu krajowego we Lwowie nadało Sylwestrowi Chodolemu i Edmundowi Hetteschowi posady oficyałów w wyższym sądzie krajowym we Lwowie.

Wybór uzupełniający posła do Rady państwa z kuryi większych posiadłości okręgu wyborczego Bochnia-Wieliczka-Brzesko, w miejsce ś. p. Atanazego Benoego, rozpisało Namiestnictwo na dzień 4go maja rb.

Wiadomości dyecezyalne. Gr. kat. archidyecezya lwowska: Prezenty otrzymali księża: Cypryan Kopacz na Biały Kamień w powiecie złoczowskim, Michał Harbaczewski na Zwyżyn w pow. brodzkim i Jan Nasalski na Zboiska w pow. lwowskim. — W zeszłym tygodniu odbyła się w archikatedrze św. Jura kanoniczna instytucya kanoników księży: Andrzeja Bileckiego na archidyakona metropolitalnej kapituły, Józefa Kobylańskiego na prałata scholastyka, Leona Turkiewicza prałata kanclerza i Teod. Piółka na kanonika gremialnego.

W Czytelni katolickiej odbędzie się we czwartek dnia 5 bm. pogadanka ks. Łukasza Bobrowicza „Szundyzm a prawosławie".

68)

WOJCIECH DZIEDUSZYCKI.

ŚWIĘTY PTAK

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

(Ciąg dalszy).

Elpinoe spotkała w pałacowej bramie Amentę. Popatrzył się na nią badawczo i spytał się spokojnie:

— Dokąd chodziłaś Elpinoe? Nie dobrze, kiedy dziewczęta chodzą same, nocą, po stolicy. Nie wiedzieć, kogo spotkać mogą.

— Chodziłam do przyjaciółki mojej — odrzekła Elpinoe, nie dając po sobie poznać najmniejszego zakłopotania albo zawstydzenia.

— Do przyjaciółki? A zkądżeś tak prędko przyszła do przyjaciół w obcem mieście?

— Jest niewolnicą w domu Mautnura, Wielkiego Pisarza królewskiego, dziewczyna z tej samej wyspy, z której i ja pochodzę. Chanaańczycy porwali nas na tym samym okręcie. Mnie kupił potem Abibaal dla naszego pana, ją kupiono dla Mautnura. Spotkałyśmy się tu przypadkiem i ucieszyłyśmy się sobą, a teraz będziemy się często widywać. Wszak rozumiesz, jak miłą rzeczą jest opłakiwać pospołu wspólną dolę, wspólne wspominać pamiątki.

— A któż to cię odprowadził na łodzi? Był to mężczyzna, żołnierz?

— Tak. — Moja przyjaciółka uprosiła jednego ze straży Mautnurowej, aby mnie tu odwiózł na łodzi pałacowej. Bała się o moje bezpieczeństwo teraz, kiedy noc ciemna zaległa ogrody.

To rzekłszy pobiegła Elpinoe dalej. Skłamała zręcznie i bez namysłu, ale nie oszukała Amenty, który wiedział dobrze, że ani żołnierz ani łódź nie pochodziły z domu Mautnura. Spoglądał za nią, śledził jej ruchy, a to co dostrzegł, powiększyło niepokój mimowolny, którego doznawał.

Abibaal stał w dolnym krużganku pałacowym, a Elpinoe zbliżyła się do niego.

Rzekła:

— Byłam u Greków.

— No i cóż? — spytał się Abibaal.

— Stanie się tak, jakeśmy ułożyli; namówiłam ich.

— I Danaus już się nie waha?

— Nie. Bogowie mojego kraju przyszli mi w pomoc cudownym i niespodziewanym sposobem. Nie wiedziałem o tem, że jestem proroczynią. Dotąd nie prorokowałam nigdy. A oto przyszedł na mnie szał bogów. Nie wiem, co mówiłam w szale, ale bogowie nieśmiertelni dali rozkaz potwierdzający twoje zamiary i Danaus będzie posłuszny temu rozkazowi.

Elpinoe nie dostrzegła kpiącego uśmiechu, jaki się przeszedł po twarzy Abibaala, usłyszała tylko odpowiedź. Rzekł krótko i sucho:

— To dobrze.

I odszedł przerywając rozmowę. Jakiś żołnierz przeszedł się bowiem właśnie w tej chwili z pochodnią popod mur, a czerwony płomień pochodni odbił się o hełm Amenty. Abibaal wiedział wprawdzie, że Amento jego rozmowy podsłuchiwać nie może, ale mógł dostrzedz, że rozmawia z Greczynką; a tego nie chciał przebiegły Izraelita.

ROZDZIAŁ X.

Szpiegi i zwiady.

Meri-Pacht prawie nigdzie nie chodziła. Bawiła w domu, przechadzała się coraz więcej po prywatnym ogrodzie Amenemhy. Pożegnała się prawie zupełnie z tą smętną nadzieją jakiegoś dziwnego samolubstwa, z którą wyjechała była ze Sni. Duma Amenty obrażona przez jej wzmiankę o tem, że Hesz-Aker powinna mieć męża, któryby nie był panem w jej własnym domu, któryby był tylko ojcem przyszłych książąt na Sni, sprawiła, że Amento prawie już z nią nie rozmawiał. Myślała, że go spłoszyła na zawsze i że sama nieostrożnie własne udaremniła zamiary. Wiedziała przy tem i słyszała, że Seti przebywał prawie nieustannie przy boku Hesz-Akery. Było to tedy zapisanem w księgach przeznaczenia, że córka Amenemhy stanie się żoną pana na Abaris, i że ród starodawny Panów na Sni zniknie bez śladu, bez sztucznego nawet przedłużenia, o którym Meri-Pacht marzyła. Bogowie jej modłów nie wysłuchali. Nie dziwiła się temu wcale; byłaby się raczej zadziwiła, gdyby się jej coś było udało i poddawała się zupełnie przeznaczeniu; ale unikała ludzi i spędzała dnie w samotności. Nawet jej rozmowy z Amenemhą były tu w Tebach rzadsze, bo Amenemha był tak zajęty, że nie potrzebował u niej szukać pociechy. Bawił się po prostu w Tebach, a lgnąc do własnych nadziei, nie wspomniał dawniej żonie nic o tem, że Ramzes chciał Setiego mieć mężem swojej córki Kerkomamy. Dziwnie był zapewne nierozsądnym, ale nie chciał prawdzie zajrzeć w oczy i powtarzał sobie, że to było słowo bez znaczenia wypowiedziane przypadkiem przez Ramzesa, tem bardziej, że Ramzes z nim dotąd nie ponowił tej rozmowy. Jeśli istniał podobny zamiar u Faraona, był to zamiar ze wszystkiem niedojrzały, a nim dojrzeje, staną się rzeczy nieodwołalne i Seti będzie małżonkiem, nie Kerkomamy, tylko Hesz-Akery.

Był wieczór chłodny; mgła zalegała Teby i zasłaniała nietylko gwiazdy, ale nawet najbliższe przedmioty. Zima i tu odzywała się, choć słabym tylko głosem; można się było rano spodziewać przymrozku i nie podobna było bawić na dworze. Meri-Pacht siedziała tedy w zamkniętej komnacie, i kazała sobie przynieść trójnóg spiżowy z rozżarzonemi węglami, przy którym się grzała. Tu oświadczyła jej niewolnica, że Amento żąda u niej posłuchania. Nieco ucieszona, z lekka zdziwiona, kazała Amentę przywołać, a gdy wszedł, wskazała mu ręką krzesło, na którem usiadł opodal od jej łoża.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z Rzymu donoszą: Deputacya, złożona z księcia Marcelego Czartoryskiego, hr. Szembeka, hr. Ludwika Dębickiego, profesora Kazimierza Morawskiego, prezesa Chmiela i p. Jana [illegible] z Poniecu, udała się w niedzielę Wielkanocną do kardynała Rampolli, celem uzyskania audyencyi u Papieża dla wszystkich Polaków, bawiących w Rzymie, którzy pragną wyrazić Ojcu św. wdzięczność za encyklikę do Biskupów polskich. Ksiądz kardynał zdał natychmiast Ojcu św. sprawę, a tenże [illegible] audyencyi wyznaczył zaraz po [illegible]. Następnie udała się deputacya do kardynała Ledóchowskiego, aby jemu jeszcze osobno hołd złożyć.

† Włodzimierz Luskina, znany malarz, autor powieści „Wielki Rok", umarł wczoraj w Krakowie.

Kremacya Bülowa. W Hamburgu odbyło się dnia 29go marca z wielką uroczystością spalenie zwłok znakomitego muzyka niemieckiego Bülowa, zmarłego w Kairze. W obrzędzie tym uczestniczyło około 4000 osób.

Przedstawienie amatorskie Klubu pocztowego odbędzie się w sobotę w sali „Frohsinu". Program: „Swieczka zgasła" Fredry, „Skrzypce czarodziejskie" Offenbacha i produkcye muzyczne.

Uroczyście i serdecznie odbyło się pierwsze wspólne zgromadzenie Związku koleżeńskiego b. seminarzystek i nauczycielek. O godz. 12 w południe dnia 1 kwietnia [illegible] wraz z członkami Towarzystwa i gronem zaproszonych gości [illegible] w westybulu pierwszego piętra żeńskiej szkoły im. A. Mickiewicza przybycia Najprzew. Arcybiskupa ks. Izaaka Isakowicza, który pod ojcowskie skrzydła swoje przygarnia wszystko, co rozwija się i pragnie żyć dla pożytecznej działalności.

Przewodnicząca Związku p. Antonina Machczyńska powitała czcigodnego dostojnika Kościoła, [illegible] najzaszczytniejszych cnót patryotycznych, dziękując gorąco słowem, że obecnością swoją uświęca skromne prace Związku, podnosi w duchu koleżeńskiej życzliwości dla dobra nauczycielek ludowych.

Po poświęceniu darów bożych, przygotowanych gościnnemi rękami pań z wydziału i zastawionych w starannie przez nie przybranej obszernej sali szkolnej [illegible] do osób zebrało się u stołów w serdecznym, miłym nastroju, na który składały się względy i szkolnego i nauczycielskiego koleżeństwa między członkami, [illegible] wspomnień i wdzięczności dawnych uczennic z gronem nauczycielskiem seminaryum żeńskiego, zaszczyconym z przeszłym dyrektorem [illegible] p. radcą Ludwikiem Dziedzickim swoją obecnością zebranie, oraz podniosłe wrażenie przemowy czcigodnego arcypasterza, — którego złote słowa pozostały pamiątką w sercach obecnych.

Dostojny kapłan podniósł znaczenie idei, przyświecającej związkowi koleżeńskiemu, która zrodzona z życzliwości serc ludzkich, tak drogiej i miłej Kościołowi i Ojczyźnie, [illegible] w obowiązek wzajemnego wspierania się w duchu religijnym i narodowym.

Duch ten zarówno przez matki rodzin jak i nauczycielki — pospołu w tem Towarzystwie złączone, — udzieli się przez nie wychowaniu domowemu i szkolnemu i [illegible] owoce dla przyszłości przyniesie.

W dalszej kolei zabierali głos: sędziwy były dyrektor seminaryum i członek honorowy Związku p. Antoni [illegible] i dyrektor szkoły wydziałowej p. [illegible], a [illegible] Bolesław [illegible] [illegible].

Pięknie wygłoszony wiersz na cześć Tadeusza Kościuszki związał dzieje tej pamiętnej dla Związku chwili w jeden bukiet uczuć koleżeńskich, społecznych i patryotycznych.

Z Czerniowiec donoszą: Sylwester Daszkiewicz, były redaktor wychodzącego tu w języku ruskim pisma *Bukowyna*, wystrzałami z rewolweru pozbawił życia żonę, dziecko a potem siebie.

Wyjątkowe stosunki. Z pod Dobromila nam piszą: Dnia 29 z. m. o 6mej wieczorem wybuchł pożar w Przedzieliczy. Spaliła się stara [illegible], zawierająca około 150 kop zboża dla dzierżawcy funduszu religijnego p. Juliana Terleckiego. Ogień był podłożony. Podłożenie ognia trafia się w Przedzieliczy w ciągu półtora roku trzeci raz w samym obszarze dworskim, a prócz tego był jeden wypadek podpalenia we wsi. W tych czterech wypadkach tylko raz wykryto zbrodniarza i to przez osobiste wdanie się miejscowego proboszcza [illegible]

To dowodzi wielkiej demoralizacyi tutejszej gminy, która i tak jest postrachem całej okolicy. [illegible] kradzieże i podpalenia, a nawet [illegible] zbrodnie są tu na porządku dziennym.

Między tutejszymi gospodarzami, wątpię, żeby się znalazło 20 takich, którzyby nie byli zasądzeni z kryminałem, a jest ich z górą 150.

Nikt przy takich stosunkach nie jest pewnym, czy dziś lub jutro nie pójdzie z płomieniem, czy go nie zabiją, a w najlepszym razie czy go nie okradną [illegible]

Obłąkanie z miłości. Onegdaj na dworcu kolei nadwiślańskiej w Warszawie zauważono młodą, elegancko ubraną kobietę, [illegible] po peronie. [illegible] Bohaterka nazywa się Józefa Krystyna K., urodzona w Łodzi, skąd przed dwoma laty wyjechała, wstąpiwszy do trupy dramatycznej Janowskiego. Kiedy jako aktorka w maju roku zeszłego bawiła w Lublinie, poznał ją pewien młody i zamożny człowiek, mieszkający w Chełmie. Zawiązał się niebawem stosunek miłosny, uwieńczony tem, że dziewczyna opuściła teatr i przeniosła się do Chełma, gdzie zamieszkała razem z ukochanym. Ten stan rzeczy trwał przez kilka miesięcy, a teraz właśnie odegrał się jego epilog.

Młoda para przybyła przed kilku dniami do Warszawy i stanęła w hotelu drezdeńskim. Około południa młodzieniec wyszedł i nie wrócił więcej, a dziewczyna, widząc się rzuconą na pastwę losu i opuszczoną przez ukochanego człowieka, popadła w rozstrój umysłowy. Wyszedłszy na miasto, błądziła długo po ulicach, dopytując się przechodniów, czy nie widzieli zbiegłego kochanka, a w końcu znalazła się na dworcu kolejowym. Na wszelkie pytania odpowiada tylko, że ją Karol porzucił. Tragiczna ta historya znajduje jeszcze dopełnienie i ilustracyę w tem, że opuszczona przez zbiegłego donżuana kobieta, znajduje się w stanie błogosławionym.

Wyjaśnienie. Otrzymaliśmy wyjaśnienie w sprawie artykuliku „Rozuamiętnienie polityczne", opisującego wypadki na pogrzebie śp. Stan. Lipińskiego. Wyjaśnienie to nadsyła nam ks. Schenkirzyk w następujących słowach:

„Dzwonić po śmierci śp. p. Lipińskiego nie zabraniałem, na co są świadkowie, moi prowizorowie cerkwi: Iwan Jurkiewicz, Oleksa Didyk i Iwan Bahrij; przeciwnie chciałem wziąć udział w pogrzebie, a nawet w dzień śmierci odprawić egzekwie, jednak pani Lipińska odpowiedziała stanowczo posłańcem umyślnie przysłanym, że „popa nie potrzebuje", a jeżeli popa nie potrzebuje, to po cóż cerkwi i dzwonów?... Chciałem dać lichtarze i światło, urządzić w cerkwi katafalk, na pogrzeb przygotowałem się z mową pogrzebową, ale pan S., siostrzeniec nieboszczyka, powiedział mi, że nie potrzeba, boby to panią Lipińską zdenerwowało. Nie narzucałem się więc, zwłaszcza że mnie nikt z kompetentnych osób nie prosił o wzięcie udziału w pogrzebie, ani nawet dotyczący proboszcz obrz. rz. kat.

Nadto nie prosząc mnie, jako miejscowego proboszcza, na pogrzeb kolatora i nie pytając o pozwolenie dzwonienia, kazała p. Lipińska dzwonić, czemu się oparłem, gdyż za podzwonne u nas nawet najuboższy płaci 10 ct. kościelnemu, a p. Lipińska chciała, by darmo dzwoniono kolatorowi, który nie dał nigdy centa ani na cerkiew ani na budynki erekcyonalne, powalone i wedle opinii inżyniera p. Dawida grożące zawaleniem; trzy razy urgowało starostwo w Złoczowie p. Lipińskiego o naprawę budynków, ale wszystko nadaremnie. Zresztą o to się nie rozchodzi, „*de mortuis nil nisi bene*", a słowem honoru zapewniam W. p. redaktora, że gdyby mnie poproszono grzecznie byłbym wszystko zrobił, bo z p. Lipińskim żyłem w zgodzie i przyjaźni. Że fałszywem jest doniesienie, wskazuje to, że ten który *Przegląd* informował, sam przyznał, że kondukt ruszył do sąsiedniej wsi Hrabużny i tam odbyła się ceremonia pogrzebowa. Hrabużna jest filią Urlowa i należy do mojej parafii, klucze cerkwi w Hrabużny są u mnie, więc jeślibym zakazał wpuścić zwłoki nieboszczyka do cerkwi w Urlowie, to nacóżbym pozwalał wpuszczać do Hrabużny? gdzie logika takiego zestawienia faktów?

Z prawdziwym szacunkiem

Ks. Wł. Schenkirzyk, prob. Urlowa koło Zborowa.

Przypisek redakcyi. Dając głos usprawiedliwieniu się ks. Włodzimierza Schenkirzyka musimy jeszcze dodać, że informacyi, na której oparty był nasz artykuł, nie zrozumieliśmy dobrze a mianowicie w tem miejscu, gdzie jest mowa o przeprowadzeniu zwłok do cerkwi w Hrabużnej. Dla ścisłości uzupełniamy więc nasz poprzedni artykulik o tyle, że jak nam doniesiono, także cerkiew w Hrabużny była zamknięta. Czynimy to dlatego, ażeby osobę, która nas informowała, obronić od postawionego przez ks. Schenkirzyka zarzutu, że wypadki opisane na podstawie jej doniesienia same sobie przeczą.

Zmarli. Maryan Cordella, rzeźbiarz, umarł w Stryju. — Antoni Spaczyński, urzędnik sądowy, umarł w Kołomyi, w 79 r. życia.

Stan powietrza. Term. + 5° o godz. 8 rano, w poł. + 12° R. Bar. 766. Pogoda.

Córki i miliony.

Mędrzec pewien usłyszał pewnego razu zapytanie:

— Powiedz, o mistrzu, kto jest szczęśliwszy: ten, co ma 7 córek, czy ten, co ma 7 milionów?

Mędrzec myślał długo, aż wreszcie wyrzekł mądre słowo:

— Ten, co ma 7 córek.

— ?!

— Tak jest... Bo ten, co ma 7 milionów, pragnie ich więcej, kto zaś ma 7 córek, więcej już ich nie pragnie.

Aforyzmy.

Podobno jest w Niemczech przysłowie, że młode anioły dzięki przyrostowi lat przekształcają się zawsze w stare czarownice.

Literatura i Sztuka.

* **Przegląd Powszechny** za kwiecień zawiera: Sądy ludowe na Litwie, przez Jana Witorta; ks. Karol Antoniewicz, przez ks. Jana Badeniego; Kongres wszech religij w Chicago, przez Michała Żmigrodzkiego; Z niedawnej przeszłości, przez Jerzego Kraskowskiego; Zapatrywania religijne Wespazyana Kochowskiego, przez L. M. Dziamę.

Rozmaitości.

— **Teleskopy.** Jedyny w swoim rodzaju pojedynek, toczący się od r. 1820 pomiędzy Nowym Światem a Europą — pisze p. Vinot, znany astronom — zdaje się zbliżać ku końcowi. Amerykanie zostali panami placu. Od chwili ustawienia wielkiego teleskopu na górze Hamilton, dzięki szczodrości głośnego Licka, który kazał się pochować u stóp swego arcydzieła, Europa nic nie uczyniła, by zakasować tę lunetę, mającą 91 centymetrów średnicy. Walka jednak nie zakończyła się na tem, lecz toczą ją już Amerykanie pomiędzy sobą. Zazdrosny o laury Licka, M. C. T. Yerkes, polecił zbudować największy w świecie teleskop, który ma być ustawiony na brzegach jeziora Genewa w stanie Wisconsin. Luneta posiadać będzie sto centymetrów średnicy. Plac rozległości 20 hektarów przy brzegu jeziora, przygotowany jest pod budowę obserwatoryum, a olbrzymi model instrumentu, którego rozmaite części już są ukończone, figurował na wystawie powszechnej w Chicago i był przedmiotem ogólnego podziwu. Francyi pozostała zasługa dostarczania szkieł. Oddawna zajmuje się fabrykacyą soczewek dom Feila, sukcesora Mantois, który tej wiosny prawdopodobnie ukończy polerowanie olbrzymich szkieł, przeznaczonych dla amerykańskiego obserwatoryum.

Oto rozmaite szczegóły, dotyczące rozmiarów i wagi tego jedynego na świecie instrumentu. Dwie soczewki objektywu posiadać będą po metrze średnicy, 37 milim. grubości w środku, 69 milim. u brzegów, ważyć mają 90 kilogramów. Jak w obserwatoryum w Meudon, gdzie wszystkie manewry odbywają się z pomocą elektryczności, guziki elektryczne znajdą się pod ręką astronoma, który wpatrzony w teleskop, będzie mógł poruszać nim i manewrować kopułą z łatwością i najzupełniej dowolnie. Kopuła posiada 4 metry średnicy, okno zawiera otwór na 4,50 szerokości. Rura teleskopu, ważąca 6000 kilogramów, zrobiona cała ze stali, ma grubości w końcach 485 milimetrów. Oś, na której teleskop będzie się poruszał horyzontalnie, ze stali hartowanej, posiada średnicy 30 centymetrów i waży 1500 kilogramów. Oś biegunowa, która będzie podtrzymywała to wszystko i nadawać ruch równoległy do ziemi, posiada 38 centymetrów średnicy i waży z dodatkami 7500 kilogramów. Filar, który unosić będzie teleskop, składa się z pięciu słupów żelaznych, ma 10 metrów wysokości i waży około 75.000 kilogramów. Nazwiska astronomów, którzy używać będą tego wspaniałego instrumentu, są już znane: Hall, odkrywca satelitów Marsa i Burnham.

— **Loki Jean Paula.** Romansopisarz Rosenthal-Bonin opowiada następującą zabawną historyę o włosach Jean Paula pod mikroskopem. „Moja matka — pisze — posiadała niezaprzeczonej autentyczności lok Jean Paula, przesłany jej przez poetę z własnoręcznym listem. Ta cenna pamiątka spoczywała pomiędzy pożółkłymi płatkami białego atłasu, na którym wyhaftowana była złotem pamiętna data listu. Lok, pozostający w wielkiem poszanowaniu pokazywany był tylko w chwilach uroczystych. Dzieckiem będąc przypatrywałem mu się z podziwem, a metalowy połysk płowych włosów zachwycał mnie. Później, gdy zacząłem studyować fizyologią i doszedłem do posiadania mikroskopu, badałem z jego pomocą wszystko, co znalazło się w domu. Pewnego razu ukradłem jeden włos z tak cennego loku i pod mikroskopem poznałem, iż był to włos... psa. Drugi, trzeci i czwarty włos nie różniły się niczem od pierwszego. W zapale wiedzy, zwierzyłem się z mego odkrycia matce i według ówczesnych zasad wychowania patryarchalnego, nie usłyszałem ani jednego słowa, lecz otrzymałem kilka tęgich uderzeń. Z tem większym zapałem zacząłem się starać o włosy Jean Paula. Podówczas w Berlinie nie było o to trudno. Ludmiła Assing, synowica Barnhagena, posiadała tego rodzaju relikwię, i krewna Henryki Herc, jeśli sobie dobrze przypominam, Flora Filippi, odziedziczyła po niej włosy w spadku. Z wielkiemi trudnościami udało mi się otrzymać jeden włos i badania mikroskopowe wydały ten rezultat, co z włosami, należącemi do mej matki. Były to włosy pudla. Wyjaśnienie tej zagadki jest następujące: Jean Paul był oblegany prośbami o włosy. Z czasem jego czoło ołysiało i tylko po brzegach pozostały resztki dawnych wspaniałych loków. Gdyby Jean Paul chciał spełnić żądania tylko setnej części swych wielbicieli i wielbicielek, nie pozostałoby na jego głowie ani śladu włosów. Ale Jean Paul miał dobre serce, był człowiekiem uprzejmym, a jego włosy miały czerwonawy połysk podobnie jak sierść jego pudla. O mikroskopach wówczas jeszcze nikt nie marzył, więc wpadł na pomysł dobrać do pomocy pudla. Może nawet uśmiechała mu się myśl, że piękne loki jego, spoczywające za szkłem na atłasie wesołego „Patosa", będą przedmiotem uwielbień pięknych pań i sentymentalnych panów.

— **Sztuka dentystyczna w Japonii**, wedle gazet londyńskich stoi bardzo wysoko, a dentyści w kraju tym mają być daleko zręczniejsi od swych europejskich kolegów. Japoński dentysta w rzadkich tylko razach używa instrumentów metalicznych. Rozumiejąc, jak przykrem jest dla cierpiącego dotknięcie bolącego zęba narzędziem chirurgicznem, japoński dentysta nie tylko bada, ale i wyrywa zęby — dwoma palcami; wielkim i wskazującym. Jak dalece sposób ten rwania zębów zmniejsza ból, ten tylko może wiedzieć, kto operacyi podobnej podlegał w Europie i w Japonii. Wedle tamtejszych praw nikt nie może otrzymać dyplomu dentysty, dopóki nie nauczy się wyrywać zębów bez instrumentów. Kurs nauk dentystycznych w szkołach japońskich dość jest obszerny. Oprócz zajęć praktycznych, przygotowujący się do egzaminu powinien znać dokładnie anatomię głowy i klatki piersiowej; wszystkie środki lekarskie, stosowane do zębów w kraju i za granicami jego; powinien nadto posiadać pewne wiadomości z dziedziny patologii. Każdy student, wstępujący na kursa dentystyczne, otrzymuje deskę z miękkiego drzewa, w którą wbity jest rząd gwoździ, mający kształt ludzkiej szczęki. Studenci wprawiają się, wyrywając te gwoździe ostrożnie; następnie gdy doszli już do pewnej doskonałości, otrzymują drugą deseczkę z twardszego drzewa, na której gwoździe w postaci zębów wbite są mniej prawidłowo itd. dopóki nie dojdą do szóstej deski, wyrobionej z hebanu lub czarnego dębu. Widzimy zatem, iż oprócz zręczności, potrzebna i siła. To też nie wielu studentów jest w stanie ukończyć kursa dentystyczne, większość zahacza się na czwartej desce. Zyskują na tem bardzo pacyenci.

— **Drzewa owocowe przy drogach.** W tych czasach poruszono we Francyi kwestyę obsadzania dróg bitych i bocznych drzewami owocowemi. Do tej pory bardzo mało dróg wioskowych we Francyi obsadzono drzewami owocowemi i większość traktów przecina pola wcale drzewami nieocienione. Francuskie stowarzyszenie rolnicze zwróciło się w r. z. do ministeryum komunikacyi z prośbą o przynaglenie właścicieli gruntów przylegających do dróg publicznych, by obsadzali je drzewami owocowemi. Komisya ministeryalna, rozstrząsająca tę prośbę, przyszła do przekonania, że byłoby niesprawiedliwością nakładać tego rodzaju obowiązek na osoby prywatne, i że całą tę sprawę należy w całości powierzyć pieczy rządu. Dowiedziawszy się o tem towarzystwo rolnicze oświadczyło, iż w interesach pszczelnictwa byłoby pożądane obsadzanie dróg i kanałów jabłoniami, gruszami i wiśniami, których kwiat dostarcza pszczołom najwięcej zdobyczy. W Niemczech od dawna jest w zwyczaju sadzenie drzew około dróg. W Saksonii przy wszystkich głównych i bocznych traktach ciągną się z boku nieprzerwanym szeregiem drzewa owocowe, dające co rok spore dochody. Za przykładem Niemiec pragnie obecnie pójść Francya. W Prowansyi drogi od dawna obsadzone są drzewami wiśniowemi, które co rok biorą w dzierżawę osoby prywatne i sumy tą drogą uzyskane wpływają całkowicie do kas miejscowych instytucyi gminnych. Francuskie towarzystwo rolnicze, mając na widoku rozwój pszczelnictwa, zaproponowało, by w departamentach północnych obsadzano drogi jabłoniami i gruszami, zaś w departamentach południowych wyłącznie drzewami wiśniowemi.

Głosy publiczności.

Z Zastawnej na Bukowinie nas proszą o umieszczenie następującego pisma: W *Przeglądzie* nr 56 podano, jakoby Wielebny ksiądz Zygmunt Jarosz kościół tutejszy w nędznym stanie odebrał. Zastał go takim poprzednik jego ks. dziekan Klemens Swoboda, dzisiejszy proboszcz z Gurahumory. On to pierwszy przyłożył siekierę do zepsutego dachu na kościele, on świątynię świeżem malowidłem ozdobić kazał, on wielki ołtarz wzniósł. Nadto postarał się o nowe ornaty, chorągwie i świeczniki, kołacząc do starostwa w Kocmaniu, gdyż u nas na Bukowinie rząd sam zaopatruje katolickie kościoły, a gdy ta pomoc okazała się niedostateczną, urządził składkę w swej parafii, przyczyniwszy się do niej znacznym datkiem. Jemu więc nasze serdeczne pierwsze „Bóg zapłać" należy się; a choć jesteśmy przekonani, iż ks. Swoboda spełniając to, co za swój obowiązek uważał, pochwał naszych nie żąda, jednakże my ludzie zwyczajni nie życzymy sobie, by nas za niewdzięcznych uważano, tembardziej, iż w czasie wizytacyi JE. ks. arcybiskupa Morawskiego otrzymaliśmy pochwałę za dobre utrzymanie kościoła, co tylko Wielebnemu ks. Swobodzie zawdzięczamy. Otóż z wyżej wymienionych powodów, prosimy o zanotowanie, że nasz kościół w Zastawnej nie był już w nędznym stanie, gdy Wielebny ks. Jarosz parafię objął. *Franciszek Koszowski*, przełożony obszaru dworskiego i członek rady gminnej w Zastawnie; *Kajetan Faszakasz*, przełożony gminy; *Hipolit Suchański, Grzegorz Warszawski, Leon Jagnicki, Wojciech Fasciszewski, † Piotr Szydło, Karol Luther*.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 2 kwietnia.

(Z.) Naprężenie ubiegłego tygodnia wyczerpało, jak się zdaje, siły giełdy naszej. To też jakkolwiek pogrzeb Koszuta przeszedł bez żadnych zamieszek i jakkolwiek nadeszła gorąco pożądana wieść, że prowizoryczny układ handlowy z Rosyą już przyszedł do skutku, nie mógł prąd zwyżkowy rozwinąć się, przeciwnie kursa pierwszorzędnych walorów międzynarodowych nawet cokolwiek się obniżyły. Co prawda, nie mieliśmy dziś prawie żadnej podniety z Berlina, gdyż i tamtejszy targ rozczarowany był niesprawdzeniem się pogłoski, która niewiadomo nawet, w jaki sposób powstała. Oto w sobotę opowiadano na giełdzie berlińskiej jako o rzeczy całkiem pewnej, że bank niemiecki otrzyma polecenie udzielania nowych pożyczek na zastaw walorów rosyjskich, tymczasem dziś zaprzeczono tej pogłosce jak najformalniej. Obroty dzisiejsze wlokły się więc leniwo, a fluktuacye kursów były nieznaczne, tylko akcye kolei czerniowieckiej od kilku dni robią olbrzymie skoki dzięki ugodzie zawartej między rządem a towarzystwem tej kolei. Dziś podskoczyły one o 7 zł., na 284·50 a w ciągu tygodnia zyskały na kursie 12 zł.

Na targu rent panuje silna tendencya mimo niewielkich obrotów. Austryackie renty są bardziej faworyzowane od węgierskich. Co się tyczy układu prowizorycznego z Rosyą, to obowiązywać on ma do 13 lipca b. r., t. z. że najpóźniej do tego czasu musi być zawarty definitywny traktat i musi uzyskać zatwierdzenie Rady państwa. Na mocy tego prowizorycznego układu opłacać będą towary austryackie przy imporcie do Rosyi te same cła, co towary francuskie i niemieckie, Austrya zaś zastósowywać będzie do towarów rosyjskich zniżone cła swej taryfy konwencyonalnej. Tutejsze towarzystwo eksportowe wysyła tymi dniami ajentów swych do Rosyi celem sondowania targów tamtejszych. Z Londynu donoszą o znacznem podniesieniu się ceny srebra na targu tamtejszym. Cena ta posskoczyła dziś z 27⅛ na 28½ pensów za uncyę. Powodem tego są znaczne zakupna białego kruszcu na rachunek rządu chińskiego.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 370·30, węgierskie 443·—, Anglobanki 154·70, Uniony 268·75, Bankvereiny 130·—, Länderbanki 255·50, Ludwiki 216·50, Czerniowieckie 284·50, Elbethale 264·—, Renta papierowa 98·55, srebrna 98·30, austryacka złota 119·15, 4% austr. renta wal. kor. 98·—, węgierska złota 118·—, 4% węgierska renta wal. kor. 95·20, dukat 5·88—, 20-frankówka 9·90—, marki 12·19, ruble 1·34.

§ **Wiedeń** 2 kwietnia. Spirytus 16·90 do 17·10.

§ **Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu.**

Kraków 3 kwietnia.

Po deszczach jakie spadły ostatecznie, powietrze znowu ociepliło się tak, że w ogóle stan powietrza jest dla zasiewów zimowych i wiosennych bardzo korzystny. W tych warunkach na polepszenie tendencyi żadnych nie ma widoków, a że ceny zboża nie obniżyły się ponownie, to dlatego, ponieważ zaofiarowanie jest chwilowo mniejsze gdyż dowozy z powodu pilnych robót w polu prawie ustały. Z drugiej strony zapotrzebowanie także jest małe, więc obroty ograniczały się dzisiaj do paru mniejszych partyj pszenicy i żyta, które kupiono po cenach zeszłotygodniowych. Na wywóz kupują tylko owies i jęczmień, głównie towar rosyjski, który tutaj leży tranzito.

Płacono: pszenicę białą 7·50 do 8·10, czerwoną 7·35 do 8·00, żółtą 7·30 do 7·90, żyto 6·30 do 6·65, jęczmień browarny 6·55 do 7·00, na kaszę 5·20 do 5·60; owies 6·40 do 7·25, rzepak —·— do 12·75; wyka 0·00—0·00; koniczyna czerwona 65—85; biała 65—90. Wszystko za 100 kilogramów.

Bank galicyjski dla handlu i przemysłu.

§ **Z wiedeńskiego targu bydła.** Na poniedziałkowy targ przypędzono 4392 sztuk bydła, a w tej liczbie z Galicyi 498 sztuk opasowych i 123 chudych. Nie sprzedano 24 sztuk.

Płacono: galicyjskie 49 do 61·00 zł., węgierskie 49—63·00 zł., z innych krajów koronnych 49 do 66·00 zł., krowy 20—32·00 zł., za 100 kilo żywej wagi.

Bydło chude od 29 do 79 — zł. za sztukę.

Telegramy „Przeglądu".

Wiedeń 4 kwietnia. Wczorajsze posiedzenie Izby posłów odbyło się przy bardzo małym komplecie. Minister handlu hr. Wurmbrand przedłożył projekt ustawy o kolejach lokalnych, których budowa ma być w r. 1894 zapewniona. Projekt ten odesłano do komisyi kolejowej.

Z kolei nastąpiły weryfikacye wyborów. Przy weryfikacyi wyboru ks. Pastora zabrał głos p. Pernerstofer, użalał się na postępowanie władz i komisyi wyborczych w Galicyi i wniósł, aby zarówno akta tego wyboru jak i niektórych innych wyborów z Galicyi odesłano napowrót do komisyi z poleceniem przeprowadzenia ścisłych dochodzeń. Wniosek ten odrzucono, a wybór ks. Pastora uznano za ważny.

Z kolei p. Kraiński imieniem komisyi referował 118 petycyi z Galicyi, domagających się ulg dla handlu nierogacizną. Referent wnosi uchwalenie rezolucyi, wzywającej rząd do ustalenia zasad w sprawie utworzenia rejonu zakaźnego, do poczynienia odpowiednich zarządzeń, umożliwiających bezpośredni przewóz bydła racicznego na targ wiedeński i do rozważenia, jakie ulgi należy wprowadzić dla handlu nierogacizną w Galicyi i Bukowinie celem zrównoważenia konkurencyi Rosyi i Rumunii.

W sprawie tej zabrał głos hr. Wiedersperg i postawił wniosek, aby sprawę tę przekazano komisyi weterynarskiej. Wniosek ten przyjęto.

Następnie wniesiono kilka interpelacyi. P. Lang interpelował ministra finansów w sprawie zniżenia ceny soli bydlęcej, zaś pp. Kronawetter i Pernerstorfer interpelowali w sprawie uciążliwych praktyk prokuratoryi państwa przy konfiskacie dzienników tudzież w sprawie strejku robotników gazowych. Nadto domagał się p. Kronawetter otwarcia dyskusyi nad odpowiedzią ministra obrony krajowej na interpelacyę w sprawie zbyt łagodnego ukarania kapitana Buresch. Wniosek ten odrzucono.

W końcu odczytano odezwę sądu powiat. m. del. we Lwowie, domagającą się zezwolenia na sądowe ściganie posła Wachnianina.

Na tem zakończono obrady. Następne posiedzenie odbędzie się jutro.

Wiedeń 4 kwietnia. W sferach parlamentarnych mówią, że jeneralna debata nad budżetem potrwa tylko trzy dni, poczem nastąpi debata szczegółowa, w ciągu której wsuniętą zostanie debata nad traktatem handlowym z Rumunią, zaś przed debatą nad ustawą finansową przyjdą na porządek dzienny przedłożenia walutowe.

Wczoraj rozdano posłom sprawozdanie komisyi budżetowej o budżecie na rok 1894. Komisya konstatuje w niem stałe obniżanie się nadwyżki dochodów od roku 1890, co zdaniem komisyi jest dowodem, że budżet w ostatnich latach stracił nieco na swej elastyczności. W sprawozdaniu podniesiono z naciskiem, że utrzymanie równowagi budżetowej jest najważniejszem zadaniem gospodarki finansowej państwa, to też ostrzega komisya przed dążeniem do zbyt śpiesznego zrealizowania wielu dotychczas powściąganych postulatów na polu kulturnem, społecznem i ekonomicznem.

Peszt 4 kwietnia. Najbliższe posiedzenie sejmu węgierskiego odroczono do 9 kwietnia.

Bruksela 4 kwietnia. Na wczorajszem posiedzeniu parlamentu cofnął prezes gabinetu przedłożenie o proporcyonalnej reprezentacyi w ciele prawodawczem i zapowiedział, że niebawem wniesie przedłożenie w sprawie ceł zbożowych.

Wenecya 4 kwietnia. Cesarstwo niemieccy przybędą tu w sobotę.

Londyn 4 kwietnia. Izba niższa przyjęła 180 głosami przeciwko 170 wniosek, zdążający do utworzenia osobnej legislatury dla spraw czysto szkockich.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie za nią żadnej odpowiedzialności.

Wiedeń dnia 4 kwietnia. (godz. 11 w połudn. Kredyty 359·25, kred. węgierskie —.—, Anglob. 155.50, Uniony —.—, Bankvereiny —.—, Länderbanki 256.10, Akcye tytoniowe 216·50, Staatsbahny 339.25, Lombardy 108·50, Elbethale —·— Renta papierowa —·—, Renta węg. 4% kor. —·— Renta węg. złota 4%, —.—, Alpiny —·—. Mark. 61·07, Losy tur. —·—.

RUCH POCIĄGÓW.

(*Zegar lwowski*).

Odchodzą do

	Kuryer		Osobowy		
Krakowa	3·01	**10·41**	**5·26**	11·11	**7·36**
Podwołoczysk	6·44	3·20	10·16	**11·11**	—
Podw. Podza.	6·54	3·32	10·40	**11·33**	—
Czerniowiec	6·36	—	10·36	8·31	**10·56**
Stryja	—	—	7·21	10·26	8·41
Bełzca	—	—	9·56	**7·21**	—

Przychodzą z

	Kuryer		Osobowy		
Krakowa	3·06	6·01	**6·36**	9·41	9·35
Podwołoczysk	2·48	**10·02**	**6·21**	9·46	—
Podw. Podza.	2·34	**9·46**	9·21	5·55	—
Czerniowiec	**10·10**	—	**7·11**	7·59	12·51
Stryja	—	—	**1·08**	9·06	**9·51**
Bełzca	—	—	8·16	5·26	—

Uwaga: Godziny drukowane grubemi liczbami oznaczają porę nocną od 6 wieczorem do godz. 5 m. 59 rano.

W biórze informacyjnem c. k. austr. kolei państwowych we Lwowie, ul. Trzeciego Maja l. 3 (Hotel Imperial) jest sprzedaż biletów strefowych, okrężnych, dowolnie zestawialnych, zeszytów do jazdy, taryf i rozkładów jazdy w formacie kieszonkowym. Informacye w sprawach taryfowych i przewozowych.

81)

KRÓLOWA ZŁOTA.

POWIEŚĆ

PAWŁA d'AIGREMONT.

(Ciąg dalszy).

Gdy po śmierci mego pracodawcy wolny już byłem od obowiązku wdzięczności, nie pozwalającego opuścić go wcześniej, nauczyciel mój pomieścił mnie w prawdziwej pracowni rzeźbiarskiej, w której pracowano jeszcze dla przemysłu, to prawda, ale gdzie robota już była więcej estetyczną i więcej zbliżała się do sztuki wielkiej. W zakładzie tym przebywam już pięć lat.

— No, a te posążki, biusty i wszystkie prześliczne drobiazgi, które niekiedy widuję u ciebie... kiedyż masz czas je robić?

— Wychodzę z pracowni o szóstej wieczorem zimą, a o siódmej latem. Zakład jest blisko, w kilka minut jestem w domu, zjadam obiad przygotowany mi przez odźwierną i pracuję dla siebie.

— A kawa? A rozrywki?

— Kawa kosztuje drogo, więc jej nie pijam, a rozrywki zabierają czas i nie nęcą mnie wcale. Zresztą, żadne przyjemności nie mogą iść w porównanie z tą, jakiej doświadczam, gdy samotny siedzę w pokoju i pracuję.

— Wiesz, po tem, coś mi powiedział, wyrzucałbym sobie jako nieuczciwy czyn, zabierając ci choć chwilę czasu.

— W takim razie żałowałbym bardzo, że otworzyłem przed tobą moje serce.

— Nie, ten dowód przyjaźni wzruszył mnie niezmiernie, nie mówiąc już o tem, że dałeś mi lekcyę dobrą. Jesteś dzielnym. Nigdy nie byłem tak dumnym z twojej przyjaźni jak dzisiaj.

— No, więc rzecz skończona. W niedzielę przyjdę do ciebie pozować.

— Dobrze. Przyjdź więc rano, a ja będę się spieszył, żeby nie zająć ci zbyt wiele czasu, gdyż musisz nad czemś pracować?

Robert zarumienił się nieco.

— Pracuję ciągle — odrzekł.

— Nad czem-że?

— Robię biust kobiety... jest to studyum..

— Możesz mi je pokazać?

— Chętnie.

Rzeźbiarz wziął lampę i poszedł z gościem do pokoju sąsiedniego, tam zapalił lampę drugą, wielką, wiszącą i ostrożnie zdjął z swej pracy wilgotne płótno.

Périer krzyknął z zachwytu. Był to urobiony z gliny wspaniały biust młodej kobiety, cudownie pięknej, o rysach szlachetnych, niezmiernie dystyngowanych.

— Ależ to prześliczne! — zawołał Périer. — Nigdy nic równie pięknego nie widziałem. Czy to twoja kochanka? W takim razie nie dziwię się, że tak lubisz pracę i samotność. Ażeby stać się jej godnym, można poświęcić wszystko!

— Nie mam kochanki — smutnie odrzekł Robert — nie kocham nikogo i mnie nikt nie kocha. Byłem zawsze samotnym na świecie i jestem nim dotychczas.

— Więc w takim razie jest to model? Przyszlij mi ją, zapłacę ile zechce, niech tylko pozuje dla mnie.

— To nie jest model.

— Nie rozumiem cię, powiedz wyraźniej.

— Młoda kobieta, której ten biust jest bardzo niedokładną reprodukcyą, będąca tysiąc razy piękniejszą, przed kilkoma miesiącami zamieszkała obok lokalu mojego.

— Czy sama?

— Nie. Żyje z mężem, równie młodym i równie pięknym i dystyngowanym jak ona.

— A mąż czem się zajmuje?

— Nie wiem. Ludzie ci nigdy nie rozmawiają z nikim, a gdy kto niedyskretny usiłuje przeniknąć ich życie, bardzo grzecznie ale stanowczo unikają odpowiedzi i to z takim chłodem, że nikt nie ma odwagi ponawiać próby. Mąż musi być jakimś oficyalistą, każdego rana bowiem wychodzi z domu wcześnie, pośpiesznie przybiega na obiad i wraca późno wieczorem.

— Cóż ona przez ten czas robi?

— Rzadko można ją widzieć. Wychodzi na targ, bardzo prędko wraca z koszykiem i, jak powiedziałem ci już, nie rozmawia z nikim.

— Jak się nazywają?

— Państwo André.

— To jest imię. A nazwisko?

— Nie wiem. Ukrywają je pewnie.

— Widocznie. Muszą pochodzić ze sfery wyższej i jakiś dramat zaszedł w ich życiu.

— Nie widziałem jej od kilku już dni. W każdym razie nie musi im być dobrze, gdyż odźwierna mówiła, że nie zapłacili za ostatni kwartał.

— Słuchaj, Robercie, powiedz jej, że jeżeli przyjdzie do mnie pozować, tylko dla głowy i i biustu, tak jak ty ją zrobiłeś, zapłacę ile zechce. Rozumiesz mnie, ile tylko zechce. Jestem bogatym i targować się nie będę... Choćby sto franków za seans, będzie mogła tym sposobem zapłacić za mieszkanie.

— Dobrze, ale to rzecz trudna. Gdybyś jeden raz ją zobaczył, przekonałbyś się, że potrzeba wielkiej odwagi, by uczynić jej podobną propozycyę.

— Może ci się zdarzy sposobność, a wyświadczysz mi przysługę wielką.

Périer powstał i pożegnał Roberta. Ponieważ gaz w korytarzu był już zgaszony, rzeźbiarz odprowadził gościa aż do trzeciego piętra.

Gdy z powrotem podszedł do drzwi swego lokalu, zdawało mu się, że w pokoju sąsiednim słyszy jakieś jęki i łkania. Zatrzymał się i zaczął nasłuchywać. Z jękami mięszały się jakieś okrzyki urywane i skargi boleśne.

— Boże mój! — szepnął Robert zmięszany — ależ to u państwa André! Co tam się stało, czyżby ona zachorowała?

Idąc za popędem serca, przezwyciężył lękliwość i zapukał w drzwi.

Jęki powtarzały się, ale łkania ustały. Ponieważ nikt nie odpowiadał, Robert zapukał powtórnie.

— Panie André — zawołał — jeżeli u pana kto zachorował, to może mogę przydać się na co?... Jestem pański sąsiad, Robert, rzeźbiarz.

Po chwili drzwi otworzyły się i na progu stanął Andrzej Dangely.

Gdy po opuszczeniu przez Teresę domu rodzicielskiego, zrozpaczona Helena przybiegła prosić panią Jacobsen o radę i pomoc, ta, nie znając Andrzeja i nie dowierzając jego bezinteresowności, radziła pozostawić rzeczy ich naturalnemu biegowi, rachując, że gdy niedostatek przyciśnie młodą parę, wtedy wykaże się istotny cel i charakter Andrzeja; lecz zarazem przepowiadała, że po ostatniej scenie, jaką siostra Heleny miała z Nadiną, ta zechce się mścić na nich i wpływem swoim będzie się starała pozbawić Andrzeja środków do życia.

Przewidywania baronowej spełniły się.

Andrzej w kilka tygodni po ślubie, nagle, bez żadnego powodu pozbawiony został posady, na której miał nadzieję dorobić się majątku. Był zbyt dumnym, by miał protestować, zaczął szukać pracy innej i wkrótce ją znalazł. Ale i tę po niejakim czasie odebrano mu. I tak powtarzało się to przez kilka miesięcy, aż najżyczliwsi dla niego ludzie zaczęli sobie mówić:

— Myśleliśmy, że Dangely jest człowiekiem uczciwym, tymczasem zewsząd go usuwają i to w krótkim czasie. Musi być jakiś powód tego.

Dni upływały, a on napróżno szukał zajęcia. Wtedy ogarnął go niepokój straszny. Teresa, jakkolwiek cierpiąca, podtrzymywała jego odwagę, ale pomimo całej jego energii, trzeba było się poddać smutnej rzeczywistości. Nędza zbliżała się szybkimi krokami, nędza straszna, bez nadziei ratunku.

Sprzedano naprzód klejnoty Teresy, następnie jej koronki, suknie i kilka ofiarowanych jej przez Andrzeja podarków. Następnie odprawiono służącą. Pewnego dnia nakoniec właściciel domu wyrzucił ich z mieszkania i zajął meble.

Pozostało im tylko łóżko, a ponieważ było kosztowne, Teresa sprzedała je i za uzyskane pieniądze zaopatrzywszy się w ubogie sprzęty, osiadła na Montmartre, w domu, w którym poznał ją Robert.

Andrzej zataił swoje nazwisko Dangely i nareszcie znalazł zajęcie u budowniczego. I może wybrnęliby z interesów, gdyby nie słabość Teresy, a następnie ciężka choroba, która znowu pogrążyła ich w nędzę.

Wydała na świat dziecię, przedwcześnie zmartwieniami zabite w jej łonie.

Na szczęście, pracodawca Andrzeja pozwolił mu pracować w domu i dozorować chorą żonę.

— Byłem nikczemnikiem — mówił, gdy miała się już nieco lepiej — zgadzając się na twoją ofiarę. Lepiej bym zniknął na zawsze, gdyż wtedy będziesz mogła powrócić do ojca i będziesz zabezpieczoną od nędzy.

Teresa położyła dłoń na ramieniu męża.

— Słuchaj — rzekła — jeżeli nie chcesz, bym zwątpiła o twojem sercu, to nigdy nie mów do mnie w ten sposób. Powiedziałam ci to już dawniej,—a nie zmieniłam się od tego czasu,— że nędza z tobą, jest dla mnie przyjemniejszą, niż innym miliony. Zachowaj dla mnie tylko twą miłość, a o resztę nie dbam, gdyż myśl o rozstaniu się z tobą jest dla mnie cięższą nad wszystko.

Gdy zaledwie wyzdrowiała, pewnego dnia w sklepie, w którym kupowała żywność, usłyszała że w pewnej drukarni używają kobiet jako zecerek, oraz do składania arkuszy i broszurowania książek.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor Ludwik Masławski. — Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. — Z drukarni nak. W. Manieckiego. — Zarządca W. Hodak.